DB 15/12/81
REF. OSW. 7 D.
ARCHIWUM
L. .... / ....

W WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 11 października 1942 r. **Rok III Nr. 39 (416)**



Katedra w Wilnie

TREŚĆ ZESZYTU

Odpowiedzi Redakcji

Tad. Pn. Dziękujemy — wydrukujemy. Z łaskawie nam przesłanych utworów p. L. Bł. zamieścimy artykuł o poezji podziemnej.

R. Ok. Za miły list i oba artykuły dziękujemy. Są, jak i poprzednie, nieźle napisane, ale taką czysto liryczną impresję jak „Ona" musimy traktować jak utwory literatury pięknej: tylko prawdziwie interesująca forma usprawiedliwiałaby tu druk. Co do „Dzieci" decyzja redakcji jeszcze nie zapadła. Wspomnienia z tego okresu wymagają szczególnej ostrożności. Czy nie nasuwają się Panu tematy związane z dzisiejszym życiem, z wojskiem, z przyszłością? Poza tym spodziewamy się, że w najbliższym numerze znajdzie Pan w felietonie „Autostopem" odpowiedź na dalsze pytania swojego listu.

Z życia Wojska Polskiego



Sympatie polsko-szkockie



Polska broń pancerna w Anglii

Hefzi-Bah

Największy dom towarowy w Palestynie

Tel-Aviv, ul. Allenby 58

Haifa-Hadar, Herzl str. 49

Haifa-Merkaz, Jaffa Road

Wszelkie artykuły użytku domowego

Kosmetyki, kufry i wyroby ze skóry

Przybory piśmienne i biurowe

Bielizna wojskowa, pończochy.

5000 artykułów wszelkiego rodzaju

Wydawca: Sekcja Samodzielnego Referatu Propagandy i Oświaty D-twa W.P.W. Adres Redakcji i Admin.: Polish Forces in Midle East.

Drukarnia Azriel, Tel-Aviv, Raanan 22, tel. 5377.

Ref. Kult. Osw. 4 Dyw. № 125

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 11 października 1942 r. **Rok III Nr. 39 (416)**

WIDMA KANCLERZA



PRZEMÓWIENIE kanclerza Hitlera wygłoszone 30. września br. w Berlinie nasuwa różnorakie refleksje.

Rozpoczynając kampanię wojenną przeciw Polsce Hitler mógł liczyć się z możliwością wywołania tym krokiem konfliktu o zasięgu światowym, choć czynił wszystko, by całokształt zatargów rozbić na szereg kampanii, a wojnę z samą Anglią odroczyć do chwili dla siebie jak najdogodniejszej.

Nikt inny jednak, jak własny minister spraw zagranicznych, Joachim von Ribbentrop, uchodzący w oczach Hitlera za najlepszego znawcę stosunków angielskich, który w okresie sudeckiego zatargu, wbrew opinii innych czołowych osobistości Rzeszy, stale przekonywał kanclerza, iż W. Brytania w konfliktach między Niemcami a innymi państwami na terenie Europy środkowo-wschodniej interweniować nie będzie, ostrzegł kanclerza na kilka tygodni przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej, że jego zdaniem tym razem Anglia przed wojną się nie cofnie.

Trudno jest stwierdzić w tej chwili, jak dalece to posunięcie Ribbentropa było wyrazem jego istotnego przekonania, w jakim stopniu stanowiło pewną asekurację na przyszłość, faktem jednak jest, że minister spraw zagranicznych Rzeszy takie przekonanie wyraził. I aczkolwiek kanclerz Hitler nie zawsze liczył się ze zdaniem swych nawet najbardziej zaufanych współpracowników, a wiele ryzykownych posunięć dokonywał wbrew ich opinii, o ile chodziło o wybór momentu czy też metody działania, to jednak nie ma żadnych powodów przypuszczać, by zupełnie wykluczał ewentualność sprowokowania uderzeniem na Polskę konfliktu światowego, zwłaszcza po odrzuceniu przez Anglię jeszcze na kilka miesięcy przed wojną propozycji niemieckich, zapewniających W. Brytanii gwarancję Rzeszy co do nienaruszalności Imperium Brytyjskiego za cenę wolnej ręki na wschodzie.

Istotnym zagadnieniem dla Hitlera nie było uniknięcie zatargu zbrojnego z W. Brytanią, bo ten konflikt stał nieuchronnie na drodze urzeczywistnienia rojeń o światowej potędze niemieckiej, ale stworzenie takiego układu stosunków, by zatarg mógł się rozegrać w warunkach dla Rzeszy jak najkorzystniejszych.

Ku temu celowi zmierzały wszystkie posunięcia polityczne kanclerza, począwszy od aliansu włosko-niemieckiego, poprzez pakt antykominternowski, który już w czasie wojny przemienił się w przymierze niemiecko-włosko-japońskie, aż do usiłowań wciągnięcia do obozu Rzeszy wszystkich państw Europy nie wyłączając nawet rozbitej już Francji, a przejściowo, jako narzędzia planów niemieckich, także i Rosji Sowieckiej.

Umożliwić to miała zręczna polityka niemiecka. Zręczność jej miała wyrazić się w niedopuszczeniu do utworzenia tak silnej koalicji antyniemieckiej, by układ sił z góry przesądzał wynik konfliktu na niekorzyść Niemiec.

Ważąc jednak w myślach swe zamiary kanclerz Hitler nie mógł nie brać pod uwagę, że nawet najbardziej precyzyjne plany mogą zawieść w zetknięciu się z rzeczywistością. Wyrazem tych obaw było jego oświadczenie złożone w toku mowy wygłoszonej w Reichstagu 1. września 1939 r., że jest zdecydowany prowadzić wojnę kilka a nawet kilkanaście lat, o ile zajdzie ku temu potrzeba.

Widmo więc długiej wojny stanęło przed kanclerzem już w dniu uderzenia na Polskę. A kto wie, czy mimo całej na zewnątrz manifestacyjnie ujawnianej wiary w zwycięstwo oręża niemieckiego za widmem tym nie czaiło się w wyobraźni wizjonera z Berchtesgaden inne widmo — możliwej klęski.

Kanclerz zaś klęskę zna. Był żołnierzem niemieckim czasu poprzedniej wojny i widział przegraną Niemiec. W jego wewnętrznym przekonaniu przegrana ta nie była wynikiem porażek na froncie, ale rezultatem wewnętrznego załamania się Rzeszy. Zrobił wszystko jeszcze przed wybuchem obecnego konfliktu, by w razie jego przedłużania się móc utrzymać w ryzach swój naród i mieć możność zlikwidowania każdego fermentu. Cały stworzony przez Hitlera aparat partyjny, a przede wszystkim gestapo, stoi na straży nietylko prawomyślności politycznej narodu niemieckiego, która w ciężkim momencie mogłaby być postawiona pod znakiem zapytania m.i. z uwagi na wchłonięcie przez organizację państwową Trzeciej Rzeszy całej pięciomilionowej niemieckiej partii komunistycznej, ale ma również za zadanie pilne baczenie, by na wytrzymałości niemieckiej nie ukazywały się rysy.

Rys zaś tych musi być widocznie coraz więcej, skoro kanclerz raz po raz ucieka się do pogróżek pod adresem własnego społeczeństwa.

O ile bowiem przemówienia Hitlera wygłaszane w początkowej fazie obecnej wojny podkreślały jedność duchową narodu i walczącego na froncie żołnierza jako więź naturalną, której nic nadszarpnąć nie zdoła, o tyle od pewnego czasu ta struna ma inny ton. Już w poprzedniej swej mowie kanclerz zapowiedział, że tępić będzie bezlitośnie wszystkie objawy słabości wewnętrznej i zażądał od sędziów, by wydawali w tych wypadkach ostrzejsze niż dotychczas wyroki, a to pod groźbą osobistej odpowiedzialności. W przemówieniu zaś wygłoszonym ostatnio 30. września br. w Berlinie, a skierowanym specjalnie do narodu niemieckiego, znalazł się znów ustęp następujący:

„Apelując do was w imieniu armii nie mogę powstrzymać się od jak najdobitniejszego ostrzeżenia, że każdy

członek naszej wspólnoty, usiłujący sabotować istniejący porządek rzeczy, zostanie zdruzgotany bez reszty. W tej dobie, gdy kwiat naszego społeczeństwa znajduje się na froncie i nieustannie ryzykuje swe życie, nie ma miejsca dla zbrodniarzy i nicponiów, którzy wznoszą zamęt do życia narodu. Będę dbać o to, możecie mi wierzyć, by gdy tam umierają ci prawi, umierali też tu ci zbrodniarze. Nie można żądać od walczących, by składali w ofierze swe życie nie mając pewności, że ich najbliżsi w kraju będą bronieni przed zamachami przeciwko ładowi i porządkowi".

Hitler zbyt dobrze zna psychologię mas, by bez istotnej potrzeby rzucać takie pogróżki. Zdaje on sobie niewątpliwie sprawę, że stwierdzenie przez człowieka trzymającego dziś losy Niemiec w ręku, iż coś się w wewnętrznych nastrojach Rzeszy zaczyna psuć, może w szerokich masach wywołać przekonanie, iż sytuacja pod tym względem jest bardzo poważna, skoro aż sam kanclerz publicznie o tym mówi. Nie ulega zaś wątpliwości, iż wywołanie takiego wrażenia nie mogło leżeć w intencjach Hitlera. Raczej można się skłaniać ku przekonaniu, że mówił o środkach zapobiegawczych wobec zjawiska, które jest na tyle powszechnie znane, że przestało być tajemnicą i które ogół ludności uważa do pewnego stopnia za normalne, chociaż niepokojące.

Cała kariera polityczna kanclerza jest typową karierą trybuna ludowego. Hitler odczuwa obawy i wątpliwości tłumu i stara się na nie odpowiedzieć. Patrzac pod tym kątem widzenia na ostatnie przemówienie kanclerza, trudno jest oprzeć się wrażeniu, że tematy w przemówieniu poruszone są tymi, które już dziś wywołują różne wątpliwości w społeczeństwie niemieckim.

Warto więc kilka punktów tego przemówienia nieco zanalizować zachowując oczywiście pewną rezerwę w wyciąganiu wniosków.

Zdaniem Hitlera, śmiesznymi wydają się usiłowania sprzymierzonych, zmierzające do rozbicia przyjaźni między Trzecią Rzeszą a jej najstarszym sojusznikiem — Włochami.

Nie jest nam wiadome, czy i jakie usiłowania robione były w tym zakresie przez aliantów. Ale jedno jest chyba zupełnie jasne, że rozwój sytuacji wojennej nie musiał przyczynić się do wzrostu we Włoszech entuzjazmu dla przymierza włosko-niemieckiego. Włoskie sny o potędze pozostała w dziedzinie snów, rzeczywistość zaś jest bardzo nieprzyjemnie inna. Wschodnio-afrykańskie Imperium włoskie leży w gruzach. W Afryce północnej wojskom Italii de facto rozkazują generałowie niemieccy, a żołnierze włoscy giną na froncie wschodnim — dla Włoch bezcelowo. Wszystko to nie przyczynia się we Włoszech do wzrostu popularności „nowego ładu", któremu patronują Niemcy. Poza tym niewątpliwie niejeden myślący Włoch musi się poważnie zastanawiać, jakie możliwości stają przed jego ojczyzną w wypadku zwycięstwa niemieckiego, w które zresztą już dziś coraz mniej się wierzy we Włoszech. Czyż nie staje się dla niego coraz bardziej jasne, że w „nowym ładzie" może się dla jego ojczyzny znaleźć conajwyżej bardzo, ale to bardzo poślednie miejsce i to pod kontrolą niemiecka tak ścisłą, że będzie postawiona pod znakiem zapytania cała niezawisłość polityczna Italii. Czyż w tych warunkach nie może wytworzyć się paradoksalna sytuacja, że w samych Włoszech zacznie rosnąć przekonanie, iż zbawieniem dla Włoch będzie klęska niemiecka, chociażby to formalnie pociągnąć miało ze sobą i przegraną Rzymu.



I pomimo całego antytalentu niemieckiego do wczucia się w sposób myślenia kogoś, kto nie jest Niemcem, świadomość w Berlinie tego rodzaju możliwości rozwojowych myśli politycznej włoskiej niekoniecznie musi być wykluczona, zwłaszcza jeśli się uwzględni, iż na półwyspie Apenińskim szarogęsi się gestapo, napewno szczegółowo informujace Berlin o włoskich wątpliwościach.

Zachodzi pytanie, czy kanclerz Hitler wspominając o rzekomych usiłowaniach sprzymierzonych rozbicia przyjaźni włosko-niemieckiej nie dał wypadkiem wyrazu swym własnym zastrzeżeniom co do „prawomyślności" sojusznika, którego zresztą nigdy zbytnio nie cenił, i czy równocześnie podkreślenie przyjaźni Berlina z Rzymem w formie, w jakiej zostało to dokonane nie jest poprostu „przyjacielskim" narazie ostrzeżeniem alianta przed ryzykiem „niezdrowych myśli".

Jeżeli zaś mówiąc o przeciwnikach kanclerz stwierdza, że celem taktyki wojennej Niemiec było „ucięcie prawego ramienia spiskowi plutokracji z bolszewizmem", to pomijając całą propagandową nomenklaturę użytą w tym sformułowaniu, jest to ni mniej ni więcej, tylko przyznanie się do bankructwa polityki własnej, która mimo wszystkich usiłowań nie umiała zapobiec utworzeniu potężnej koalicji antyniemieckiej i nie potrafiła rozbić olbrzymiego w swym całokształcie, a wywołanego przez Hitlera, konfliktu na szereg poszczególnych kampanii wojennych.

Tłumaczenia kanclerza, iż w okresie zimy mógł pozwolić nieprzyjacielowi iść naprzód (w Rosji) tak długo, jak długo pozwalały na to siły wroga i że mógł pozwolić na odczekanie, która z dwóch stron pierwsza się zmęczy, może być wobec późniejszych zwycięstw niemieckich bardzo zręcznym chwytem propagandowym obliczonym na dodanie ducha narodowi niemieckiemu, ale nie zmienia w niczym faktu, że tenże naród nie może końca tych zwycięstw zobaczyć.

Końca tych zwycięstw nie widzi zresztą sam kanclerz, bo jakże inaczej można sobie tłumaczyć zwrot użyty w jego przemówieniu: „Niechaj wrogowie nasi toczą tę wojnę tak długo, jak chcą..."

To już jest dużo więcej niż przyznanie się do bankructwa teorii „Blitzkriegu". Jest to bowiem stwierdzenie, że kanclerzowi wytracono z ręki kierownictwo wypadków i że nie może już dziś zakończyć wojny wtedy, kiedy sam zechce, a musi ją prowadzić tak długo, jak długo będą chcieli przeciwnicy.

Wobec rosnących zbrojeń koalicji, które już dziś w niektórych dziedzinach przekraczają zbrojenia niemieckie, to przyznanie się Hitlera do bezsiły jest równoznaczne z powiedzeniem wielkiego wieszcza niemieckiego:

„Nie mogę zbyć się widm, którem wywołał sam".

Pocieszanie narodu niemieckiego, iż Rzesza nigdy nie skapituluje, jest mimowolnym ukazywaniem przez kanclerza własnemu społeczeństwu całej przepaści, ku której naród niemiecki za własną zgodą i aprobata od początku obecnego konfliktu za Hitlerem idzie.

A twierdzenie kanclerza, że narodowo-socjalistyczne Niemcy wraz ze swymi sprzymierzeńczami wyjdą z obecnej wojny w końcu jako triumfatorzy i westchnienie jego, że największym błogosławieństwem dla narodu niemieckiego będzie zwycięskie zakończenie wojny, które udowodni światu słuszność podstawowego programu partii narodowo-socjalistycznej, opierającego się na zasadzie wspólnoty narodów, jest w warunkach rozwoju obecnego konfliktu jedynie jednostronnym pobożnym życzeniem — bez szans realizacji. *Z. N.*

Od bramki do bramki

Rozgromienie armii Grazianiego



WOJSKA GEN. WAVELLA po zajęciu na granicy Egiptu w dn. 16. grudnia 1940 r. Sollum i Fortu Capuzzo wchodziły na obszary kolonii włoskiej Libii, zdobytej przez Rzym na Turkach w roku 1911, lecz opanowanej całkowicie i politycznie dopiero po poprzedniej wojnie światowej, w czasie wypraw marsz. Grazianiego przeciw miejscowym szczepom arabskim i berberskim. Długość jej ze wschodu na zachód oraz szerokość z północy na południe wynosi około 1500 km, a więc równa się odległości z Londynu do Neapolu, lub z Berlina do Barcelony. Na wielkich tych obszarach mieszka jednak zaledwie 900.000 ludzi, z czego 90.000 Włochów.

Libia dzieli się na dwie wyraźnie odgraniczone części: na wschodzie Cyrenaika, na zachodzie Trypolitania. Na całym tym obszarze tylko najbliższe okolice Derny w Cyrenaice oraz samego Trypolisu są uprawne, poza oczywiście rozrzuconymi żyznymi oazami. Kolonia nigdy nie była samowystarczalna. Trzy czwarte jej wydatków pokrywał skarb państwa włoskiego. Zawodziły również próby kolonizacji. Dopiero w roku 1938 rzad faszystowski uczynił krok naprzód osadzając 20.000 chłopów włoskich na dobrze przygotowanych gospodarstwach.

Kolonia nabyła natomiast olbrzymiego znaczenia strategicznego. W rękach Włochów stała się bazą wypadowa „osi" na Egipt i na posiadłości francuskie w Afryce. W razie zdobycia jej jednak przez Anglików, Wielka Brytania uzyskałaby z kolei bazę uderzeniową na Włochy i klucz do zdobycia całkowitej przewagi w Afryce, oraz nad Morzem Śródziemnym. Walka o Libię posiada zatem niemałe znaczenie dla przebiegu całej wojny i tłumaczy niesłabnące wysiłki, czynione przez obie walczące strony, by ją zdobyć, względnie utrzymać się na jej obszarach.

ZDOBYCIE BARDII

W dniu 17 grudnia przednie oddziały brytyjskie stanęły pod Bardią, 50 km na zachód od Sollum, i rozpoczęły oblężenie drugiego naturalnego obok Tobruku portu włoskiego w Afryce północnej. Mimo, że zdolność przepustowa portu była niewielka, Bardia była doskonale wyposażona w różne urządzenia, a Włosi poświęcili 3 lata, by wybudować dokoła miasta silne umocnienia. W twierdzy znajdował się potężny garnizon, wzmocniony oddziałami, które zdołały wycofać się z Sidi Barrani i z Sollum.

Oblężenie Bardii trwało trzy tygodnie. Twierdza była bombardowana z lądu, z morza i z powietrza. W dniach 1. i 2. stycznia 1941 roku Anglicy wzmogli ogień, a w dn. 3. stycznia wojska australijskie ruszyły do natarcia, przebijając się przez pierścień umocnień. W dniu 5. stycznia opór włoski ustał. Bardia — nazwana przez Mussoliniego „bastionem faszyzmu" — wpadła w ręce brytyjskie, a wraz z nią 45.000 jeńców, w tym 6 generałów. Zwycięstwo osiągnięto za cenę 600 ofiar.

Gen. Robinson pisząc w ksiażce „General Wavell in the Middle East" o zdobyciu Bardii zaznacza, że wykonane przez Włochów „umocnienia były z punktu widzenia inżynierskiego doskonałe, z punktu widzenia jednak taktycznego posiadały jeden bład: miały bowiem charakter wyłącznie obronny i osłaniający, a nie były przygotowane do przeciwuderzeń. Mimo to, umocnienia te, jak i nagromadzony w Bardii sprzęt, pozwalały na stawianie zdeterminowanego oporu. Zawiódł jednak duch, który znajdował się w obrębie tych fortów... Włosi okazywali mało ochoty do walki." Gdy wojska brytyjskie obejmowały kolejno umocnienia twierdzy, znajdowały tam oficerów i żołnierzy włoskich przeważnie już spakowanych i gotowych do wymarszu do niewoli.

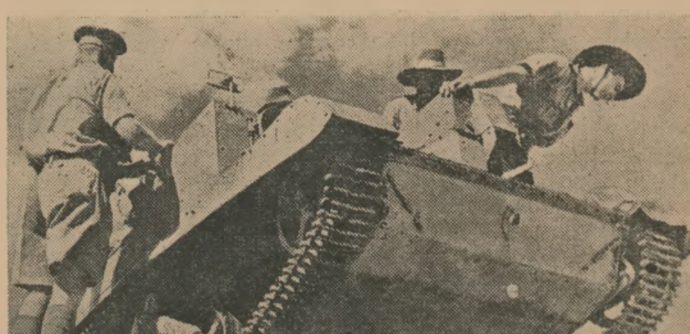
Z wzieciem Bardii inwazyjna armia Grazianiego przestawała istnieć. Z sił jej ubywało 84.000 ludzi poległych i wziętych do niewoli. Z 7 dywizji włoskich pozostawało zaledwie 6.000 ludzi. Wśród zabitych znalazł się głośny dowódca włoskich wojsk pancernych gen. Maletti.

TOBRUK

Po zdobyciu Bardii gen. Wavell nie tracił już czasu na postoje i zaopatrzywszy się w zdobyty sprzęt ruszył na Tobruk. W dniu 6 stycznia wojska brytyjskie zbliżając się do Tobruku zajęły wielkie lotnisko El Adhem. Komunikat wojenny z dnia 8. stycznia doniósł o znacznej koncentracji wojsk brytyjskich pod Tobrukiem, a w dniu 9. stycznia oznajmiono, że przednie straże brytyjskie dotarły do morza na zachód od Tobruku odcinając twierdzę od pozostałych sił włoskich.

Szybkie posuwanie się wojsk brytyjskich na zachód ułatwiało istnienie wspaniałej autostrady zbudowanej przez Mussoliniego wzdłuż brzegu morskiego od granicy Tunisu do granicy Egiptu. Mussolini nazwał tę drogę „traktem zwycięstwa". Miała ona służyć do najazdu na sąsiednie obszary. W istocie swej droga posiadała dwa słabe punkty: znajdowała się w zasięgu dział okrętów wojennych, a jako jedyna szosa przecinajaca Libię, była szczególnie narażona na ataki lotnictwa. Okazała się przy tym narzędziem bardzo obosiecznym. Oddawała usługi tej stronie walczacej, która w danej chwili miała inicjatywę. Z chwilą rozpoczęcia marszu Wavella na Libię, „trakt zwycięstwa" Mussoliniego zaczął wieść do triumfu wojska brytyjskie.

Znaczenie Tobruku jest ogólnie znane. Główny naturalny port włoskiej Afryki północnej został przed wojną potężnie umocniony przez Rzym. Forteca posiadała 200 dział różnego kalibru, olbrzymie ilości amunicji, otoczona



Australijski carrier



Zajęcie Bardii

była polami minowymi, zaporami przeciwczołgowymi itd. Garnizon składał się z jednej dywizji, z części innej jednostki oraz oddziałów marynarzy i artylerii przybrzeżnej.

Komunikaty kairskie były od dnia 9. stycznia bardzo powściągliwe na temat walk. Dopiero 21. stycznia oznajmiono, że po ciężkim bombardowaniu przez dwie poprzednie noce, oddziały imperialne wdarły się na głębokość 8 klm. w system umocnień Tobruku biorąc do niewoli jeńców wraz z generałem. W dniu 22. stycznia ogłoszono, że wyrwa w umocnieniach została rozszerzona na głębokość 14 klm. i że wojska brytyjskie znajdują się w odległości 5 klm. od miasta. Dnia następnego grupy Australijczyków nie napotykając już na opór dostały się na główną ulicę Tobruku. Australijczycy zastali Włochów spakowanych i gotowych do wyjazdu do obozu jeńców. Wśród nich stał otoczony walizkami admirał włoski w śnieżno-białych rękawiczkach. W porcie płonął wielki krążownik „San Giorgio". Paliły się również magazyny. Wszędzie widoczne były ślady bombardowań R.A.F. Oprócz admirała w ręce brytyjskie dostało się znowu 4 generałów, 50 czołgów, 200 dział, a liczba ogólna jeńców podniosła się do 100.000. Wszystko to osiągnięto kosztem 500 ofiar.)

MANEWR GEN. WAVELLA

Po opanowaniu Tobruku gen. Wavell powziąć musiał ważną decyzję co do dalszej metody postępowania. Otwierały się przed nim dwie drogi na zachód: jedna autostradą wzdłuż morza przez Dernę do Benghazi, druga przez Dżebel El Akhdar (Zielone Góry) i Mekili ku brzegowi morskiemu. Ta druga droga, możliwa dla zmotoryzowanych pojazdów nie była wszakże tak dogodna jak pierwsza, nastręczała nawet duże trudności, lecz przedostanie się przez nią pozwoliłoby dotrzeć do morza na południe od Benghazi i całkowicie odciąć wojska włoskie w Cyrenaice od Trypolisu. Wysłanie jednak całej armii ta drogą było nazbyt ryzykowne. Gen. Wavell postanowił zatem skierować główne swe siły autostrada, a na Mekili posłać lotne oddziały zmotoryzowane, które w pewnej chwili znalazłyby się na tyłach wojsk włoskich.

W dniu 24. stycznia wojska brytyjskie stanęły przed uroczo położonym i urzadzonym miastem kolonistów włoskich Derną. Oddziały włoskie wiedząc o losie Bardii i Tobruku zorganizowały silniejszy opór, a przede wszystkim zabezpieczyły sobie drogę odwrotu. W tym też tylko jednym wypadku garnizonowi włoskiemu udało się wycofać częściowo na zachód. Lotne brytyjskie oddziały zmotoryzowane wysłano w stronę Mekili nie mogły bowiem odciąć Derny od zachodu. Miasto zostało zdobyte w dniu 29. stycznia. W dniu 4. lutego padła Cyrene położona o 100 km na zachód od Derny, a w dniu 6. lutego wojska brytyjskie wkroczyły do Benghazi, z którego Włosi wycofali się bez walki na skutek decyzji dowódcy garnizonu, generała Tellera.

BITWA POD SOLLUKIEM

Jednocześnie lotne oddziały brytyjskie posuwając się przez pustynię pokonały w dniach 26. i 27. stycznia Włochów w Mekili i czekały na rozkaz dalszego marszu w kierunku morza. Rozkaz nadszedł na dzień 2. lutego. Marsz był szczególnie trudny. Szalał zimny wiatr pustynny. Widzialność była bardzo ograniczona. Posuwano się według kompasu. Mimo to po 36 godzinach uciążliwej drogi oddziały dotarły do morza między Sollukiem i Dżedabią. I tam zetknęły się z wycofującą się z Benghazi armią gen. Tellera. W dniu 5. lutego rozpoczęła się dwudniowa gwałtowna walka, w której szale ważyły się wielokrotnie aż do chwili przybycia silniejszych brytyjskich oddziałów pancernych.

Włosi nie spodziewali się spotkać wojsk imperialnych na drodze z Bengazi do Tripolisu. Byli tym tak zaskoczeni, że gdy zmotoryzowana kawaleria brytyjska wpadła na czoło ich wielkiej kolumny wywołała tam niebywałe zamięszanie i zadała dotkliwe ciosy. Uderzenie to pozwoliło Brytyiczykom zyskać na czasie aż do chwili nadejścia cięższych wozów. Lecz gdy następnego dnia Włosi po przegrupowaniu się wystawili 70 czołgów w nadziei przebicia się — sytuacja stała się dla Anglików groźna. Opór włoski został jednak w końcu złamany. Generał Teller padł na polu śmiertelnie ranny, a wkrótce potem z wozów włoskich wywieszono białe chorągwie. 21.000 jeńców, 125 dział i 94 czołgi wpadły w ręce angielskie. Bitwa, jedna z największych na pustyni, śmiała w koncepcji i w wykonaniu, została wygrana. W dniu 8. lutego wojska brytyjskie doszły do El Agheila na granicy Trypolitanii. Cała Cyrenaika wraz ze stolicą Benghazi, miastem 75-tysięcznym, dostawała się w ręce angielskie. Gen. Sir Maitland Wilson został jej gubernatorem. Kosztem 1700 ludzi Wavell rozbił armię Grazianiego, biorąc 140.000 jeńców do niewoli.

POSTÓJ I ODWRÓT

Dokonawszy tego, gen. Wavell zarządził postój. Musiał mieć po temu poważne powody. Jednym z nich była konieczność dania wypoczynku wojsku, zorganizowania zaopatrzeń oraz ściągnięcia posiłków potrzebnych do dalszych działań i wystawienia garnizonów na zdobytych terenach. Innym powodem była konieczność udzielenia pomocy Grecji, gdzie z Afryki został skierowany w końcu korpus ekspedycyjny, złożony z 57.000 ludzi. Z postoju tego wszakże skorzystali Niemcy. Oni bowiem, zorientowawszy się w w niebezpieczeństwie grożącym nie tylko Trypolisowi i Włochom, ale również „osi", uchwycili inicjatywę obrony Libii w swoje ręce. Na scenę wystąpił generał Rommel, który z rąk odsuniętego Grazianiego przejął faktyczne dowództwo nad wojskami „osi" w Afryce.

W dniu 26. lutego doszło do pierwszego spotkania niemieckiej pancernej jednostki rozpoznawczej z oddziałami brytyjskimi na zachód od El Agheila. Narazie nie przywiązywano do tego w Kairze większego znaczenia. W ciągu marca jednak Niemcy skorzystawszy z tego, że flota angielska było zajęta obroną Grecji, zdołali przerzucić z Sycylii do Afryki 3 dywizje. W dniu 3. kwietnia rozeszła się piorunujaca wiadomość o odebraniu przez wojska „osi" Benghazi. W dniu 7. kwietnia oddziały „osi" były z powrotem w Dernie i Mekili, biorąc do niewoli 6 generałów angielskich, m.i. w czasie przymusowego lądowania znanego przyjaciela Polski, generała Carton de Viard, właściciela posiadłości na Polesiu, gdzie spędzał zawsze część roku. Wojsko „osi" zostały zatrzymane dopiero na

granicy Egiptu i przed Tobrukiem, który wytrzymał następnie słynne ośmiomiesięczne oblężenie.

W dniu 24. grudnia 1941 r. wojska sprzymierzone przełamawszy silny opór generała Rommla znalazły się po raz drugi w Benghazi, lecz znowu po miesiącu musiały opuścić to miasto oraz całą powtórnie zdobytą Cyrenaikę.

OD BRAMKI DO BRAMKI

Zarówno pierwsza wyprawa libijska generała Wavella, jak druga generała Auchinlecka, świadczy, że zwycięstwo na pustyni, aby mogło być trwałe — musi być totalne. Zatrzymanie się przed Trypolitanią oddaliło w jednym i w drugim wypadku tak dalece wojska sprzymierzone od baz zaopatrzeń, a tak zbliżyło do swoich baz wroga, że pozwoliło mu na szybszą regenerację swych sił i przejście do przeciwnatarcia. Z drugiej strony, pustynia jest terenem nie dającym oparcia cofającym się wojskom. Skomplikowane zagadnienie zorganizowania etapów i baz zaopatrzeń nabiera też szczególnego znaczenia. Raz rozpoczęty odwrót trwa zazwyczaj aż do znalezienia własnych, zazwyczaj odległych baz. Walki w Libii porównywano do zawodów piłki nożnej. Raz obie drużyny walczą przy jednej bramce, to znowu przerzucają się do drugiej. Sprawia to wrażenie dziwnego kontredansu. Ale dlatego też ofensywa w Libii musi być tak opracowana, by dawała możność niezatrzymania się w pół drogi. Celem jej nie może być Tobruk lub Benghazi, lecz Trypolis.

Mimo, że armia gen. Wavella musiała wycofać się z Libii, zwycięstwo przez nią odniesione miało duże znaczenie, odsuwając przede wszystkim na długo grozę wiszącą nad Egiptem i dając możność szczęśliwego zakończenia kampanii w Abisynii. Niemałą rolę odegrał też fakt, że klęska włoska w Libii zmusiła Niemców do otwarcia frontu lądowego w Afryce, który zaczął poważnie wysysać ich siły i coraz bardziej absorbować ich uwagę.

D. I.

Wiersze naiwne...

I

CZYŻ mogłem zgadnąć losów koleje,
Karmiący wróble na śniegu,
Że mnie ta zima porwie w zawieję,
Wyrzuci
Zmarzniętym ptakiem na brzegu.

Czyż mogłem wiedzieć, sypiąc jałmużnę
W zaułkach pełnych gołębi,
Że już czekają wozy podróżne,
Że jadę
Wciąż jeszcze dalej i głębiej.

Czyż mogłem przeczuć, że właśnie w Wilnie,
W smutku, w najcięższych potrzebach,
Spadniesz mi w serce tak nieomylnie —
Jak z nieba
Rzucona ptakom kruszyna chleba...



II

LECĄ obłoki — fruną gołębie,
Wachlarz skrzydlaty błękit przewiewa
Zgubionych liści schylone drzewa
Szukają w głębi spokojnej rzeki,
Wiatr się czasami przeciągnie — ziewa,
Słońce złociste mruży powieki,
Śpiewa w powietrzu echo piosenki
I brzęczą wiersze jak rój z pasieki,
I płynie niebo czyste, przejrzyste,
Niebo koloru twojej sukienki...

III

JUŻ wyszedł księżyc nad miasteczko,
Wsparł się promieniem jak kosturem —
Gwiazdy jak rybki płyną rzeczką,
Kąpią się na noc chmurki bure.

W uliczce rzędem stoją dachy
I rośnie drzewo nad ławeczką —
Księżyc nakłada srebrne blachy
I szyld zawiesza nad apteczką.

I patrzy długo i uparcie,
Okrągły, jędrny, szczerozłoty,
Czy w aptekarskiej, starej karcie
Są także — „krople od tęsknoty"...



IV

MALEŃKA moja, córeczko,
Kruszyno,
Promykiem słońca
Pędzona w obszarach świata —
Nie lękaj się
— nikt ci nie zginął,
I tylko się nie dziw, że tata
W krótkich chodzi spodeńkach
I wiersze pisze
na stare lata...

ZDZISŁAW BRONCEL.



W niewoli u Niemców

Za drutami „Oflagów" i „Stalagów"

Ciekawe światło na życie w „Oflagach" i „Stalagach" rzuciły wspomnienia, ogłoszone w „Polsce Walczącej" przez polskiego jeńca wojennego, wziętego do niewoli w czasie kampanii we Francji. Autor tych rozważań, Marian Piotrowski, zdołał zbiec z niewoli i obecnie znajduje się w Anglii. Na wstępie swych uwag podał on schemat organizacji obozów niemieckich dla jeńców.



NA terenie każdego okręgu wojskowego znajduje się przeważnie jeden „Oflag", tzn. obóz oficerski, oraz kilka „Stalagów" — czyli obozów żołnierskich. Obozy żołnierskie odgrywają jednak rolę tylko przejściowych etapów na drodze do „Arbeitskommando", to jest do tych komórek, gdzie jeńcy muszą pracować.

W Stalagu przebywają chorzy, następnie ci, którzy pracują w biurach, tzn. na poczcie, w ewidencji, czyli „Kartei", w administracji obozu „Lagerkanzlei", dalej ci, których przesłano do ukarania do karnych kompanii, lub też do zwolnienia, na koniec starsi podoficerowie, którym teoretycznie przysługuje prawo odmówienia pracy fizycznej. Teoretycznie, podkreślam — podoficerowie i aspiranci nie są obowiązani pracować. Jednakże w miarę zaostrzania się sytuacji na rynku pracy, większość podoficerów i aspirantów zarówno polskich jak i francuskich, belgijskich i jugosłowiańskich zmuszono do wyjazdu na „Arbeitskommando".

PRZYMUS PRACY

W każdej wsi niemieckiej, w jakiejś opuszczonej szkole czy szopie, mieści się „Arbeitskommando" — grupa kilkudziesięciu jeńców, pod dowództwem podoficera niemieckiego, pod nadzorem dwóch do trzech żołnierzy, zatrudniona na terenie danej wsi. W niektórych miasteczkach są czasem po dwie lub trzy takie komórki. Na wsi zazwyczaj jedna. O ile obozy, zarówno „Oflagi" jak i „Stalagi", mają charakter międzynarodowy to „Arbeitskommandy" zostały unarodowione, tzn. — są „Arbeitskommandy" polskie, francuskie, jugosłowiańskie czy belgijskie.

W myśl przepisów o pracy jeńców, nawiasem mówiąc bardzo szczegółowo i dokładnie opracowanych i wydanych nawet w osobnej książeczce, jeńcy pracujący czy to na roli czy w fabryce muszą obowiązkowo jeść i spać na „Arbeitskommando". Jedynie latem, w czasie intensywnych prac w polu, jeńcy mogli jeść razem z gospodarzem, u którego byli zatrudniani.

TARGI NIEWOLNIKÓW

Obozy jenieckie przypominają bardzo targi niewolników. Przydział do pracy odbywa się bowiem dwutorowo. Z jednej strony dowództwo obozu przydzielało do każdej „Arbeitskommando" pewną ilość jeńców, przewidzianych dla tej okolicy, z drugiej strony poszczególni włościanie czy też przemysłowcy, którzy już nie mogli dostać robotników w swej „Arbeitskommando" ze względu na wyczerpanie kwantum, przyjeżdżali po jeńców wprost do obozu.

Cała opisana organizacja wymaga olbrzymiego aparatu nadzorców, dozorców, wartowników itp. Niemcy wpadli więc na nowy sposób. Na jesieni 40 roku poczęli proponować żołnierzom polskim zwolnienie z obozu pod warunkiem podpisania zobowiązania, iż będą pracować w Niemczech. Nazywało się to w gwarze obozowej — „przejściem do cywila". Zobowiązanie nie podawało ani na jak długo podpisany zobowiązuje się pracować w Niemczech, ani na jakich warunkach. Początkowo odnosiło się to tylko do jeńców polskich.

Żołnierze zajęli wobec tego projektu zasadniczo wrogą postawę. Najpierw ze względów zasadniczych. Wychodzili z założenia, że są żołnierzami i chcą nimi pozostać. Jeśli pracują, to pod przymusem. Dobrowolnie dla Niemiec nie będą pracować. Następnie kierowali się dobrze zrozumiałym interesem. Los bowiem takich pracowników cywilnych był godzien pożałowania. Żołnierz, który podpisał podobne zobowiązanie wychodził z obozu i zostawał przydzielany do jakiejś wioski, do jakiegoś chłopa, jako zwykły robotnik.

Nie podlegał już jurysdykcji wojskowej. Odbierano mu mundur wojskowy. Jako płacę otrzymywał 21 marek miesięcznie, za które musiał kupić sobie ubranie, bieliznę i wszystko co mu było potrzeba, poza oczywiście jedzeniem, które dostawał od gospodarza. Nie wolno mu było ruszyć się poza obręb wioski. Na ubraniu musiał nosić literę „P". Był trędowatym w środowisku, w którym przebywał. Jeśli nie spodobał się gospodarzowi, gospodarz meldował do policji i automatycznie odsyłali go już nie do obozu jeńców, gdzie przesłuchiwałby go oficer sądowy, lecz po prostu do obozu koncentracyjnego, gdzie dostawał się w ręce S.S. lub S.A.

Nie pomogły więc namawiania. Żołnierze nie chcieli się zgłaszać na pracowników cywilnych.

ŻOŁNIERSKA POSTAWA POLAKÓW

Jeńcy polscy zachowali postawę żołnierską. Nie opuścili się ani zewnętrznie, ani wewnętrznie. Ci, co siedzą jeszcze za kratami obozów, to element już wypróbowany. Wszelkiego rodzaju renegaci: „Volksdeutsche", „Ukraińcy", czy „Białorusini", którzy mieli odpłynąć — odpłynęli. Zostali ci, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do swego oblicza narodowego, którzy są Polakami, chcą być Polakami i gotowi są za to swoje przywiązanie do polskości przepędzić jeszcze kilka lat życia za drutami obozów.

„Oflag" nasz był wybitnie międzynarodowy. Składał się z Francuzów, Belgów, kilku Anglików i Polaków, wziętych do niewoli we Francji. Polacy byli traktowani pod względem prawnym na równi z innymi. Zaznaczam — pod względem prawnym — gdyż każdy z nas, jak również i nasi towarzysze doli innych narodowości, zdawali sobie sprawę, że jesteśmy bardziej niż inni narażeni na sztych nienawiści i brutalności niemieckiej.

Dał to nam odczuć dobitnie komendant naszego bloku. Odrazu pierwszego dnia, gdy zobaczył naszą grupkę, oświadczył, że jest on niezmiernie szczęśliwy, a z nim cała Rzesza niemiecka cieszy się, że Polacy z Francji znaleźli się także za drutami obozów. Postara się nam „uprzyjemnić" życie i odpłacić się za zbrodnie(!) polskie. Zaraz też zaczęły się szykany.

NIEMIECKI „PYSKACZ"

Pierwszym występem naszego oprawcy była sprawa rotmistrza X. Wartownik niemiecki zobaczył przypadkiem u rotmistrza X małe obcążki, które ten pożyczył u kolegi, by urządzić jakiś kąt w baraku, to znaczy wbić kilka gwoździ w ramę pryczy dla powieszenia płaszcza i chlebaka.

Nasz niemiecki komendant „Pyskaczem" zwany, robi z tego wielką awanturę. Zwołuje zbiórkę, wywołuje rotmistrza przed front i oświadcza mu, że został przyłapany na gorącym uczynku przygotowywania ucieczki. Że niewątpliwie obcążkami tymi chciał się posłużyć do przecinania drutów. Wywijając mu obcążkami pod nosem, wyraźnie chce mu zmiażdżyć nos. Przypadkiem nadchodzi dowódca obozu, stary pułkownik niemiecki i scena ta w widoczny sposób wywołuje w nim niesmak. Odwołuje „Pyskacza" i każe nas rozpuścić do baraków.

„Pyskacz" szukał jednakże stale okazji, by znęcać się nad grupą polską. Wynalazł, iż w naszym baraku zepsuto krzesło. W rzeczywistości to połamane krzesło zostało nam podrzucone z sąsiedniego baraku. Drobne to wydarzenie posłużyło mu jednak za pretekst do poniżenia nas. Jednego z dni jesiennych, na porannym apelu, w pośrodku czworoboku złożonego z przeszło 2 tysięcy oficerów francuskich, wśród których na uboczu stała nasza mała grupka, zauważyliśmy jakąś małą inscenizację. Dwóch podoficerów taszczy połamane krzesło. „Pyskacz" staje przy nim i rozpoczyna przemówienie: — Oto — wrzeszczy — dowód polskiego barbarzyństwa. Tak Polacy obchodzą się z sprzętem, którego im użyczyliśmy w naszej dobroci, by mogli żyć w lepszych warunkach. Nikt inny, żadna z narodowości, będących w tym obozie, nie mogłaby się zdobyć na to, by niszczyć przedmioty codziennego użytku. To połamane krzesło jest symbolem barbarzyństwa polskiego!

OWACJE DLA POLAKÓW

W takiej atmosferze moralnej przykrości przechodziły nam dni w „Oflagu". Dowódca naszej grupy, oficer najstarszy wiekiem, narażał się codziennie w obronie naszych praw i naszej godności, na znoszenie wymysłów i szykan ze strony dowództwa niemieckiego, nieugięcie jednak wypełniał swój ciężki obowiązek, jaki mu przypadł z wieku i szarży. Grupa polska wkrótce zdobyła sobie w obozie wyjątkową pozycję służąc przykładem dyscypliny, karności i godności. Najbardziej narażeni na sztych prześladowań niemieckich Polacy nie załamali się ani razu ni fizycznie, ni moralnie. Nieraz grupa ta była przedmiotem zbiorowej owacji kilku tysięcy jeńców framuskich, belgijskich i angielskich.

Tu muszę zaznaczyć z góry, że jak w „Oflagu" grupa polskich oficerów i podchorążych wyróżniała się swą postawą, tak też w obozach żołnierskich, do których się potem dostałem, oddziały polskie odbijały również czystością, karnością i zaradnością. W obu obozach, przez które przeszedłem, i w „Oflagu" i w „Stalagu", baraki polskie były uznane przez samych Niemców za wzorowe pod względem porządku.

W czasie jednej z rewizji w naszym baraku w „Oflagu" jednemu z oficerów niemieckich wyrwało się znamienne oświadczenie:

— Jakie to dziwne, że przysłowia narodów czasami kłamią. W Niemczech mówi się tak dużo o „Polnische Wirtschaft", tymczasem znam już szereg obozów jenieckich i przekonałem się, że zawsze największy porządek panuje w baraku polskim.

11 LISTOPADA W NIEWOLI

W przeddzień 11 listopada dowództwo obozu z góry dało do zrozumienia Polakom jak i Francuzom, że wszelkie manifestacje będą surowo karane. Grupa polska i tak obeszła ten rozkaz.

Zwróciliśmy się do księży francuskich, czy nie zgodziliby się odprawić nabożeństwa o godz. 5. rano nie w baraku przeznaczonym na kaplicę, lecz w małych składzikach, mieszczących się przy każdym baraku mieszkalnym. Ponieważ do składziku mogło wejść tylko kilku ludzi, musieliśmy się podzielić na małe grupki po ośmiu czy dziesięciu.

Plan został wykonany zgodnie z opracowanym projektem. Rano o godz. 4.30 w polskiej części baraku powstał ruch, niezwykły jak na tę porę. Zapalono światło, co można było uczynić swobodnie, gdyż ze względu na black-out okiennice były szczelnie zamykane. Polacy zerwali się z prycz i poczęli się ubierać. Koledzy francuscy z drugiego końca baraku ze zdziwieniem przypatrywali się wczesnym przygotowaniom polskim. Polacy zaczęli kolejno wymykać się z baraku w ciemną noc. Z trudem odnaleźliśmy składzik na drugim końcu obozu, w którym czekał na nas ksiądz francuski. Klitka była tak mała, że dziesięciu ludzi ledwie się w niej mieściło. Ksiądz odprawiał mszę przy małym drewnianym stoliku.

POLACY I ANGLICY

Jeńcy polscy uważają się za największych spryciarzy. Polacy najlepiej umieją wykręcać się od przymusowej roboty, najlepiej wprowadzać w błąd Niemców, może po prostu dlatego, że znają ich psychologię. Anglików uważają żołnierze polscy niezbyt słusznie za naiwnych, to też wspólne przedsięwzięcia zazwyczaj opracowywane są razem przez Polaków i Anglików z tym, że Polacy dają pomysł i dostarczają żywności.

Współpraca między tymi dwoma narodami nawiązała się żywiołowo i jest poza sympatiami osobistymi wynikiem ogólnej orientacji politycznej. Jeńcy w obozach rozumują kategoriami politycznymi i uprawiają swoją małą politykę w miarę swych możliwości. Francuzi kapitulowali, przerwali walkę, a więc nie można na nich liczyć. Anglicy nie ugięli się, prowadzą walkę dalej, a więc trzeba im pomagać. To są koledzy.

Grupa Anglików w naszym „Stalagu" jest nieliczna. Kilku lotników strąconych nad Niemcami, kilku żołnierzy wziętych do niewoli we Flandrii. Miłe, młode chłopaki, przesiadują godzinami w baraku polskim. Żołnierze polscy w wielu wypadkach prawie, że się nimi opiekują dostarczając im papierosów, czy chleba.

Tommy — tak będę nazywał młodego Anglika — zaimponował mi jednak. Brałem go za wesołego, naiwnego chłopaka. Okazał się jednak spryciarzem nad miarę.

Po pewnym czasie, gdyśmy się bliżej poznali, podchodzi do mnie na ulicy obozu i trąca mnie w ramię. Jednocześnie podaje mi w ręku jakiś karteluszek papieru. Biorę go do ręki i o dziwo! Ulotkę drukowano po francusku z mową Winstona Churchilla, wygłoszoną do Francuzów. Już oczywiście po kapitulacji Francji.

— Przeczytaj — mówi — i daj innym.

Oczywiście wziąłem do baraku, nie tylko że przeczytałem, ale zrobiliśmy odpis i puściliśmy wśród Francuzów.

— Jakeś to dostał? — pytam. Uśmiechnął się i podniósł w górę naiwne, niebieskie oczy. Po pewnym czasie opowiedział mi, jak to w niezwykły sposób oszukiwał Niemców. Niestety w końcu mu się noga powinęła i znalazł się za drutami obozu.

Jeńcy angielscy mają moral doskonały. Są święcie przekonani, że Anglia musi wygrać wojnę.

W czasie Wilij Bożego Narodzenia Anglicy złożyli nam wizytę. Przyszedł mój Tommy i kilku jeszcze innych. Siedzimy za stołem uroczyście, jak na wizycie w chłopskiej rodzinie. Przyszedł również do baraku polskiego doktór francuski, młody porucznik. Francuz skręca rozmowę na tematy polityczne. Pyta:

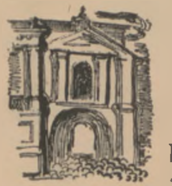
— No, co panowie myślicie o sytuacji. Kto wygra wojnę.

— Jakto kto — odpowiada Tommy. — My wygramy. Czy pan nie wie, że Anglia przegrywa wszystkie bitwy za wyjątkiem ostatniej?

Marian Piotrowski



Wnętrze Kościoła Św. Piotra i Pawła na Antokolu



WŚRÓD pagórków zielonych, pod dachem błękitu,
wita miasto uśmiechem mnie jasnym od świtu
i zrzuca gdzieś z pod nieba w Wilię świeże kwiaty,
skąpane gwiazd rosami promienne bławaty
i wieniec z nich błękitny falami uplata
i składa w Ostrej Bramie przed Królową świata...

A słońce już zstępuje gdzieś z Góry Trzykrzyskiej
i okna domów pali szkarłatnym ogniskiem,
rozbudza serca dzwonów po nocnym milczeniu
i idzie ponad miastem w śpiewie i dzwonieniu,
w zaułkach się rozzłaca wśród liliowych cieni
i kąpie się już w Wilii, w kwietnikach, w zieleni.
Gdzieś w Parku Bernardyńskim drzewa drżą westchnieniem,
ulice i zaułki szepcą mi wspomnieniem
i prowadzą milczący korowód gdzieś ludzki...
Poznajęl.. Zan... Lelewel... Mickiewicz... Piłsudski..,
Z kościołów bije nagle pod niebo „Te Deum".

NA EKRAN

IRAK... kraj, na który, w miarę zbliżania się Niemców do Kaukazu, coraz częściej zwracały się oczy polityków i wodzów armii... Na Środkowym Wschodzie Irak zajmuje kluczową pozycję: nafta iracka, dostarczana specjalnym rurociągiem do Palestyny i Syrii, stanowi główne źródło zaopatrzenia Środ. Wschodu w ten podstawowy dziś surowiec wojenny; położenie przy Zatoce Perskiej daje Irakowi panowanie równocześnie nad drogą zaopatrzeń dla Rosji i nad drogą do Indii. Stanowisko Iraku jest jasne: premier rządu irackiego, Noury Pasza El Said oświadczył, że w razie zamachu niemieckiego na terytorium irackie, Irak wypowie wojnę państwom osi, z którymi zresztą od czasu proniemieckiej rebelii Raszyda Ali (1—30 maj 1941) rząd Iraku zerwał stosunki dyplomatyczne.

Armia iracka nie jest liczna (ponad 100.000 ludzi), ale dobrze zaopatrzona w sprzęt angielski i szkolona specjalnie w walkach w pustyni. W ciągu ostatnich dwóch lat wybudowano sieć dróg strategicznych, zapewniających szybkie przesuwanie wojsk w zagrożone punkty. Obecny premier Iraku jest sam wojskowym — służył jako generał w armii tureckiej i brał udział w wojnie światowej.

MIASTO CZOŁGÓW

STALINGRAD, w którym toczą się w tej chwili tak zaciekłe walki, to dawny Carycyn. Na cześć Stalina, Carycyn został nazwany jego imieniem dla upamiętnienia obrony przed oddziałami „białych" podczas rosyjskiej wojny domowej. Na czele obrony miasta stał wówczas Stalin, przysłany przez Lenina, i Klim Woroszyłow, samozwańczy wódz rewolucyjnych grup chłopskich — dziś marszałek Związku Sowieckiego. Stalin był twórcą planów obrony, Woroszyłow — wykonawcą. W ramach planu gospodarczego Sowietów Stalingrad stał się miastem przemysłu żelaznego: centrum produkcji czołgów. Liczył przed obecną wojną 145.000 lunośści.

NOWY SOJUSZNIK

BRAZYLIA — od września nasz nowy sojusznik w walce z Niemcami, jest czwartym na świecie państwem co do wielkości obszaru, po Sowietach, Chinach i Kanadzie. Coprawda zaledwie 7 procent terytorium zostało wykorzystane gospodarczo, ale produkcja obejmuje kawę, trzcinę cukrową, bawełnę, kauczuk.

Położenie geograficzne Brazylii nadaje jej szczególne znaczenie — bogactwo linii brzegowej dostarczy doskonałych baz dla floty alianckiej nadzorującej Atlantyk, a przestrzeń Natal—Dakar jest najkrótszą odległością między kontynentem Ameryki i Afryką. Chociaż Brazylia liczy 45.000.000 ludności, posiada armię zaledwie 90.000-czną.

Mimo to, armia brazylijska była najpotężniejsza ze wszystkich wojsk południowo-amerykańskich. W roku 1938 Brazylia starała się sprowadzić broń nowoczesną z niemieckich zakładów Kruppa. Wątpliwe, czy się to udało wobec wojny, która wybuchła już w roku następnym — w każdym razie obecnie zaopatrzenie wojenne będzie dostarczone ze Stanów Zjednoczonych. Szkolenie armii powierzone było francuskiej misji wojskowej, której pierwszym szefem był... generał Gamelin. Od r. 1934 misja francuska została zastąpiona przez amerykańską. Po przeprowadzeniu pełnej mobilizacji i ukończeniu przygotowań wojennych Brazylia będzie mogła swą armię znakomicie powiększyć.

Lotnictwo, które przed 6 miesiącami jeszcze jakby nie istniało, obecnie jest forsownie rozbudowywane. Flota wojenna składa się z 4 pancernych krążowników, 15 torpedowców i 4 łodzi podwodnich.



Przystąpienie Brazylii do wojny po stronie alianckiej pozostaje w związku z silnymi w tym kraju wpływami Portugalii, tradycyjnie zaprzyjaźnionej z Anglią. Brazylia bowiem stanowiła do 1821 r. część imperium portugalskiego. Gdy w 1808 Napoleon zajął Portugalię, cesarz Don Juan schronił się w swej posiadłości amerykańskiej. Kiedy minęła burza napoleońska, Don Juan wrócił na tron portugalski, Brazylia jednak odłączyła się od metropolii, powołując na odrębny tron — Don Pedro, syna Don Juana.

Wilno

Na Rossie w smutnej ciszy skrzepło mauzoleum
I spokój, dziwny spokój rozłacza się wszędy,
na płycie ktoś zostawił kwiaty, które zwiędły...
Na piersiach marmurową mam płytę milczenia.
Lecz nagle akord dzwonów budzi z zamyślenia,
pod niebo idzie w słońcu silny, dźwięczny, dumny,
w ulice wpływa śmiało, w katedry kolumny
uderza strugą spiżu, wśród murów się łamie
i niesie hymn drgający swój ku Ostrej Bramie.

Wokoło głucha cisza... oczy palą łzami,
coś szepcę bezdźwięcznymi, suchymi słowami...
O, słyszę już te słowa w rozszlochanej gamie:
„O Panno Święta, Ty co w Ostrej świecisz Bramie
i naród nasz otaczasz Swą ciągłą obroną —
powróć nas, powróć cudem na Ojczyzny łono...“.

JANUSZ WEDOW



Barokowe wieżyce Kościoła Św. Piotra i Pawła

NIE ŚWIATA

BOMBOWCE Z R. 1849...

PIERWSZE BOMBARDOWANIE... Kiedy dziś żyjemy pod znakiem wielkich nalotów, warto przypomnieć, że pierwszy raid bombowy odbył się przed... 93 laty, w r. 1849, kiedy Austria zbombardowała zbuntowaną Wenecję z wysokości 4500 stóp. Pewien inżynier, Franz Uchatius, zaproponował cesarzowi ażeby użyć przeciw Wenecji balonów z bombami opatrzonymi regulatorem, który sprawi, że bomby w oznaczonym czasie automatycznie odczepią od gondoli balonu.

Projekt został przyjęty i Uchatius, założywszy swą główną kwaterę na statku wojennym „Volcano“, który podpłynął pod Wenecję, wysłał na „lot bombowy“ flotę powietrzną złożoną z 50 balonów.

Pierwsza bomba wybuchła pośrodku jednej z głównych ulic — ogień z nieba wywołał panikę. Kilka bomb zapaliło się i rozsiało pożary. Wprawdzie bombardowanie zabiło tylko 4 ludzi i raniło 26, ale efekt moralny był niesłychany — Wenecjanie, sparaliżowani strachem, bali się opuszczać mieszkania, wojska włoskie idące z odsieczą bały się podejść do miejsca, narażonego na „niebieskie“ pociski, Wenecji groził głód i miasto było bliskie poddania się. Na szczęście bombardowań nie powtórzono i Wenecja zdołała przerwać pierścień oblężenia austriackiego.



WRÓG LOTNIKÓW

WODNA PUSTYNIA — ocean, przestrzeń morska jaką trzeba przebyć zanim powróci się do bazy, jest jednym z najgroźniejszych wrogów lotnika. Uszkodzenie samolotu zmusza nieraz do przymusowego wodowania i jeśli na czas nie nadejdzie pomoc, prowadzi do okropnej śmierci z wyczerpania i zimna. To też robi się co tylko w ludzkiej mocy dla ratowania zaginionych lotników.

Przede wszystkim każdy większy samolot zaopatrzony jest w gumową łódkę ratunkową, mieszczącą się w lewym silniku bombowca. Jeżeli załoga samolotu nie zdoła uruchomić tej łódki, może pływać w kamizelkach ratunkowych tylko w ciągu kilku godzin, natomiast w gumowej łódeczce potrafi wytrzymać dwa, a nawet więcej dni.

Na morzu są gdzieniegdzie zakotwiczone małe stateczki specjalnie przeznaczone dla rozbitków. Znajdują się w nich ciepłe koce, żywność, piecyki, karty do gry. Takie boje ratunkowe, pomalowane na żółty kolor, rozmieszczają na morzu zarówno Niemcy jak i Anglicy.

Z chwilą stwierdzenia zaginięcia załogi koledzy-lotnicy rozpoczynają metodyczne poszukiwania. Ratunkowe wyprawy samolotów startują kolejno aż do skutku, przerywa się je dopiero wtedy, gdy minie już wszelka szansa odnalezienia rozbitków przy życiu. Plan wyprawy ratunkowej polega na pokryciu rejonu poszukiwań tak gęstą siecią kursów, ażeby przeoczenie rozbitków było teoretycznie niemożliwe.

SZYBKOŚĆ HITLERA

GEN. MARIAN KUKIEL (mianowany niedawno ministrem spraw wojskowych) ogłosił na łamach „France Libre“ artykuł omawiający wyprawę Hitlera na Rosję na tle analogicznej kampanii napoleońskiej. Interesujące jest zestawienie szybkości wojsk napoleońskich i hitlerowskich: Napoleon drogę do Smoleńska przebył z przeciętną szybkością 10 km dziennie, Hitler w „wojnie błyskawicznej“ osiągnął na tej samej drodze szybkość 23 km. Po Smoleńsku Napoleon posuwał się w stronę Moskwy po 12 km dziennie, podczas gdy Hitler robił tylko 3 km na dzień i... Moskwy nie zajął. W nowej ofensywie niemieckiej w Rosji szybkość ta spadła jeszcze bardziej...

Według ostatnich doniesień prasy postępy wojsk niemieckich pod Stalingradem wynoszą niekiedy zaledwie 10 metrów na godzinę. W tym, naprawdę żółwim, tempie do celu swego Hitler nie dojdzie na czas, zwłaszcza że na niektórych odcinkach zmuszany jest do cofania się z conajmniej taką samą szybkością. Z tego zdają sobie już podobno sprawę w Niemczech, gdzie krąży rzekoma wersja komunikatu urzędowego, według której Niemcy w ciągu ub. doby zajęli w Stalingradzie... „dwa pokoje z kuchnią“. *H. W.*



Wnętrze Kościoła Św. Piotra i Pawła na Antokolu

Wilno

WŚRÓD pagórków zielonych, pod dachem błękitu,
wita miasto uśmiechem mnie jasnym od świtu
i zrzuca gdzieś z pod nieba w Wilię świeże kwiaty,
skąpane gwiazd rosami promienne bławaty
i wieniec z nich błękitny falami uplata
i składa w Ostrej Bramie przed Królową świata...

A słońce już zstępuje gdzieś z Góry Trzykrzyskiej
i okna domów pali szkarłatnym ogniskiem,
rozbudza serca dzwonów po nocnym milczeniu
i idzie ponad miastem w śpiewie i dzwonieniu,
w zaułkach się rozzłaca wśród liliowych cieni
i kąpie się już w Wilii, w kwietnikach, w zieleni.
Gdzieś w Parku Bernardyńskim drzewa drżą westchnieniem,
ulice i zaułki szepcą mi wspomnieniem
i prowadzą milczący korowód gdzieś ludzki...
Poznaję!.. Zan... Lelewel... Mickiewicz... Piłsudski..,
Z kościołów bije nagle pod niebo „Te Deum".

Na Rossie w smutnej ciszy skrzepło mauzoleum
I spokój, dziwny spokój roztacza się wszędy,
na płycie ktoś zostawił kwiaty, które zwiędły...
Na piersiach marmurową mam płytę milczenia.
Lecz nagle akord dzwonów budzi z zamyślenia,
pod niebo idzie w słońcu silny, dźwięczny, dumny,
w ulice wpływa śmiało, w katedry kolumny
uderza strugą spiżu, wśród murów się łamie
i niesie hymn drgający swój ku Ostrej Bramie.

Wokoło głucha cisza... oczy palą łzami,
coś szepcę bezdźwięcznymi, suchymi słowami...
O, słyszę już te słowa w rozszlochanej gamie:
„O Panno Święta, Ty co w Ostrej świecisz Bramie
i naród nasz otaczasz Swą ciągłą obroną —
powróć nas, powróć cudem na Ojczyzny łono...".

JANUSZ WEDOW



Barokowe wieżyce Kościoła Św. Piotra i Pawła

NA EKRANIE ŚWIATA

IRAK... kraj, na który, w miarę zbliżania się Niemców do Kaukazu, coraz częściej zwracały się oczy polityków i wodzów armii... Na Środkowym Wschodzie Irak zajmuje kluczową pozycję: nafta iracka, dostarczana specjalnym rurociągiem do Palestyny i Syrii, stanowi główne źródło zaopatrzenia Środ. Wschodu w ten podstawowy dziś surowiec wojenny; położenie przy Zatoce Perskiej daje Irakowi panowanie równocześnie nad drogą zaopatrzeń dla Rosji i nad drogą do Indii. Stanowisko Iraku jest jasne: premier rządu irackiego, Noury Pasza El Said oświadczył, że w razie zamachu niemieckiego na terytorium irackie, Irak wypowie wojnę państwom osi, z którymi zresztą od czasu proniemieckiej rebelii Raszyda Ali (1—30 maj 1941) rząd Iraku zerwał stosunki dyplomatyczne.

Armia iracka nie jest liczna (ponad 100.000 ludzi), ale dobrze zaopatrzona w sprzęt angielski i szkolona specjalnie w walkach w pustyni. W ciągu ostatnich dwóch lat wybudowano sieć dróg strategicznych, zapewniających szybkie przesuwanie wojsk w zagrożone punkty. Obecny premier Iraku jest sam wojskowym — służył jakó generał w armii tureckiej i brał udział w wojnie światowej.

MIASTO CZOŁGÓW

STALINGRAD, w którym toczą się w tej chwili tak zaciekłe walki, to dawny Carycyn. Na cześć Stalina, Carycyn został nazwany jego imieniem dla upamiętnienia obrony przed oddziałami „białych" podczas rosyjskiej wojny domowej. Na czele obrony miasta stał wówczas Stalin, przysłany przez Lenina, i Klim Woroszyłow, samozwańczy wódz rewolucyjnych grup chłopskich — dziś marszałek Związku Sowieckiego. Stalin był twórcą planów obrony, Woroszyłow — wykonawcą. W ramach planu gospodarczego Sowietów Stalingrad stał się miastem przemysłu żelaznego: centrum produkcji czołgów. Liczył przed obecną wojną 145.000 lunośści.

NOWY SOJUSZNIK

BRAZYLIA — od września nasz nowy sojusznik w walce z Niemcami, jest czwartym na świecie państwem co do wielkości obszaru, po Sowietach, Chinach i Kanadzie. Coprawda zaledwie 7 procent terytorium zostało wykorzystane gospodarczo, ale produkcja obejmuje kawę, trzcinę cukrową, bawełnę, kauczuk.

Położenie geograficzne Brazylii nadaje jej szczególne znaczenie — bogactwo linii brzegowej dostarczy doskonałych baz dla floty alianckiej nadzorującej Atlantyk, a przestrzeń Natal—Dakar jest najkrótszą odległością między kontynentem Ameryki i Afryką. Chociaż Brazylia liczy 45.000.000 ludności, posiada armię zaledwie 90.000-czna.

Mimo to, armia brazylijska była najpotężniejsza ze wszytkich wojsk południowo-amerykańskich. W roku 1938 Brazylia starała się sprowadzić broń nowoczesną z niemieckich zakładów Kruppa. Wątpliwe, czy się to udało wobec wojny, która wybuchła już w roku następnym — w każdym razie obecnie zaopatrzenie wojenne będzie dostarczone ze Stanów Zjednoczonych. Szkolenie armii powierzone było francuskiej misji wojskowej, której pierwszym szefem był... generał Gamelin. Od r. 1934 misja francuska została zastąpiona przez amerykańską. Po przeprowadzeniu pełnej mobilizacji i ukończeniu przygotowań wojennych Brazylia będzie mogła swą armię znakomicie powiększyć.

Lotnictwo, które przed 6 miesiącami jeszcze jakby nie istniało, obecnie jest forsownie rozbudowywane. Flota wojenna składa się z 4 pancernych krążowników, 15 torpedowców i 4 łodzi podwodnich.

Przystąpienie Brazylii do wojny po stronie alianckiej pozostaje w związku z silnymi w tym kraju wpływami Portugalii, tradycyjnie zaprzyjaźnionej z Anglią. Brazylia bowiem stanowiła do 1821 r. część imperium portugalskiego. Gdy w 1808 Napoleon zajął Portugalię, cesarz Don Juan schronił się w swej posiadłości amerykańskiej. Kiedy minęła burza napoleońska, Don Juan wrócił na tron portugalski, Brazylia jednak odłączyła się od metropolii, powołując na odrębny tron — Don Pedro, syna Don Juana.



BOMBOWCE Z R. 1849...

PIERWSZE BOMBARDOWANIE... Kiedy dziś żyjemy pod znakiem wielkich nalotów, warto przypomnieć, że pierwszy raid bombowy odbył się przed... 93 laty, w r. 1849, kiedy Austria zbombardowała zbuntowaną Wenecję z wysokości 4500 stóp. Pewien inżynier, Franz Uchatius, zaproponował cesarzowi ażeby użyć przeciw Wenecji balonów z bombami opatrzonymi regulatorem, który sprawi, że bomby w oznaczonym czasie automatycznie odczepią od gondoli balonu.

Projekt został przyjęty i Uchatius, założywszy swą główną kwaterę na statku wojennym „Volcano", który podpłynął pod Wenecję, wysłał na „lot bombowy" flotę powietrzną złożoną z 50 balonów.

Pierwsza bomba wybuchła pośrodku jednej z głównych ulic — ogień z nieba wywołał panikę. Kilka bomb zapaliło się i rozsiało pożary. Wprawdzie bombardowanie zabiło tylko 4 ludzi i raniło 26, ale efekt moralny był niesłychany — Wenecjanie, sparaliżowani strachem, bali się opuszczać mieszkania, wojska włoskie idące z odsieczą bały się podejść do miejsca, narażonego na „niebieskie" pociski, Wenecji groził głód i miasto było bliskie poddania się. Na szczęście bombardowań nie powtórzono i Wenecja zdołała przerwać pierścień oblężenia austriackiego.

WRÓG LOTNIKÓW

WODNA PUSTYNIA — ocean, przestrzeń morska jaką trzeba przebyć zanim powróci się do bazy, jest jednym z najgroźniejszych wrogów lotnika. Uszkodzenie samolotu zmusza nieraz do przymusowego wodowania i jeśli na czas nie nadejdzie pomoc, prowadzi do okropnej śmierci z wyczerpania i zimna. To też robi się co tylko w ludzkiej mocy dla ratowania zaginionych lotników.

Przede wszystkim każdy większy samolot zaopatrzony jest w gumową łódkę ratunkową, mieszczącą się w lewym silniku bombowca. Jeżeli załoga samolotu nie zdoła uruchomić tej łódki, może pływać w kamizelkach ratunkowych tylko w ciągu kilku godzin, natomiast w gumowej łódeczce potrafi wytrzymać dwa, a nawet więcej dni.

Na morzu są gdzieniegdzie zakotwiczone małe stateczki specjalnie przeznaczone dla rozbitków. Znajdują się w nich ciepłe koce, żywność, piecyki, karty do gry. Takie boje ratunkowe, pomalowane na żółty kolor, rozmieszczają na morzu zarówno Niemcy jak i Anglicy.

Z chwilą stwierdzenia zaginięcia załogi koledzy-lotnicy rozpoczynają metodyczne poszukiwania. Ratunkowe wyprawy samolotów startują kolejno aż do skutku, przerywa się je dopiero wtedy, gdy minie już wszelka szansa odnalezienia rozbitków przy życiu. Plan wyprawy ratunkowej polega na pokryciu rejonu poszukiwań tak gęstą siecią kursów, ażeby przeoczenie rozbitków było teoretycznie niemożliwe.

SZYBKOŚĆ HITLERA

GEN. MARIAN KUKIEL (mianowany niedawno ministrem spraw wojskowych) ogłosił na łamach „France Libre" artykuł omawiający wyprawę Hitlera na Rosję na tle analogicznej kampanii napoleońskiej. Interesujące jest zestawienie szybkości wojsk napoleońskich i hitlerowskich: Napoleon drogę do Smoleńska przebył z przeciętną szybkością 10 km dziennie, Hitler w „wojnie błyskawicznej" osiągnął na tej samej drodze szybkość 23 km. Po Smoleńsku Napoleon posuwał się w stronę Moskwy po 12 km dziennie, podczas gdy Hitler robił tylko 3 km na dzień i... Moskwy nie zajął. W nowej ofensywie niemieckiej w Rosji szybkość ta spadła jeszcze bardziej...

Według ostatnich doniesień prasy postępy wojsk niemieckich pod Stalingradem wynoszą niekiedy zaledwie 10 metrów na godzinę. W tym, naprawdę żółwim, tempie do celu swego Hitler nie dojdzie na czas, zwłaszcza że na niektórych odcinkach zmuszany jest do cofania się z conajmniej taką samą szybkością. Z tego zdaje sobie już podobno sprawę w Niemczech, gdzie krąży rzekoma wersja komunikatu urzędowego, według której Niemcy w ciągu ub. doby zajęli w Stalingradzie... „dwa pokoje z kuchnią". *H. W.*

Mit Messerschmitta 110



W PIERWSZYCH miesiącach wojny Niemcy przez umiejętne filtry swej propagandy wpajali skutecznie, choć dyskretnie w umysły zatrwożonego świata (i niemniej zaniepokojonych sprzymierzeńców), że mają w zanadrzu nową, straszliwą niespodziankę dla przeciwnika w postaci supersamolotu, szczytu wynalazczości, maszyny nad maszynami.

W kampanii polskiej mało pojawiło się tych maszyn, również niewiele w kampanii francuskiej. Więc sprzymierzeńcy nie mogli sobie jasno zdać sprawy, co to zacz, wiedzieli tylko, że ów Messerschmitt 110 — jak się nazywała niebezpieczna bestia — był jakąś maszyną dwusilnikową o dużym uzbrojeniu i posiadał tylnego strzelca.

Dopiero w bitwie o Brytanię Niemcy rzucili w powietrze większą ilość Messerschmittów i odkryli swe karty. Całun tajemniczości padł i okazało się, że diabeł nie jest tak bardzo czarny, jak go Niemcy malowali. Zwłaszcza po unieszkodliwieniu tylnego strzelca, co dziwnie łatwo się działo, można było diabła chwycić za rogi i cisnąć o ziemię. Lecz dopiero szczególne zdarzenie pewnego dnia całkiem rozwiało wybujałą aureolę i sława mitu prysła jak mydlana bańka.

Pewnego dnia jeden z polskich dywizjonów napotkał nad wschodnią częścią Sussexu zgrupowanie 30-tu niemieckich bombowców, Heinkli 111, sunących w kierunku nad stolicę pod silną osłoną Messerschmittów 109. Pierwsze klucze doszły do ataku na bombowce, lecz już nadlatujące z góry Messerschmitty, których było około 70, dały się Polakom dotkliwie we znaki. Wynikła walka. Na szczęście przybyły inne brytyjskie dywizjony i wspólny ich wysiłek powstrzymał nieprzyjaciela.

Witur, dowodzący tego dnia ostatnim kluczem dywizjonu, zaatakowany przez kilka Messerschmittów naraz, wyrwał się z opałów zawadiackimi wywrotami i gdy potem maszynę wyprostował, znalazł się zdaleka od wrzawy. Z jednej strony widział wyprawę niemiecką, na którą właśnie nacierały dywizjony myśliwców, z drugiej natomiast strony, jakieś 2000 metrów od siebie w kierunku zachodnim, spostrzegł zdumiewające zjawisko: długi, nieskończenie długi tasiemiec samolotów, lecących jeden za drugim gęsiego, z południa w stronę Londynu.

Była to jakaś nowa wyprawa niemiecka, idąca równolegle do pierwszej i składająca się z samych maszyn dwusilnikowych, zdala przypominających Witurowi sylwetki bombowców nurkujących. Lecz zbliżywszy się myśliwiec stwierdził, że to same Messerschmitty 110. Było ich przeszło 40 i najwidoczniej miały na celu ściągnięcie na siebie uwagi brytyjskich myśliwców, by wyprawie Heinkli ułatwić w międzyczasie przedarcie się do Londynu.

Gdy w pobliżu Witura zjawiło się kilku innych myśliwców, wszyscy kupą przypuścili atak na czoło nieprzyjaciela. Wąż nie wdając się w walkę natychmiast skręcił w lewo i zwinął się w zamknięte koło. Nastawił jeża. Messerschmitty szły w tym kole na jednym poziomie tworząc olbrzymią redutę powietrzną, władającą silnym ogniem na wszystkie strony. Nie sposób było się zbliżyć.

Witur i brytyjscy myśliwcy krążyli nad przeciwnikiem, bezradnie wypatrując jakiejś szczeliny. Kilku z nich dopadało to tu, to tam do koła, jakby plując krótkimi seriami pocisków, i odskakiwało z małym pożytkiem. Dwa Hurricany zaczęły już dymić i poszły do ziemi. Koło tymczasem toczyło się nadal nienaruszone, spokojne, wyzywające. Jakiś pyszałkowaty w swojej pewności siebie obraz niemieckiej buty, jakiś bezczelny wieniec, urągający niebu Anglii.

Witur wnet zrozumiał, że chaotyczne szarpanie wroga niczego nie zdziała. Tymczasem nadleciało więcej brytyjskich myśliwców, było ich już prawie dwudziestu. Witur przymknął gaz swojej maszyny i pokiwał skrzydłami. Pięciu myśliwców zareagowało i przyłączyło się do niego. Z góry od strony słońca, zwalili się razem na najbliższy odcinek koła z tak dobrym skutkiem, że trzy Messerschmitty wypadły z obwodu. Natychmiast dostały się w obroty innych Hurricanów. Dwa z nich buchnęły płomieniem, trzeci uciekał z dwoma Spitfirami na ogonie.

Szóstka atakujących Hurricanów rozpadła się. Witur wzleciał znów ponad nieprzyjacielskie koło i chciał po raz drugi zorganizować atak, lecz już nie zdążył. Z góry uderzyły dwa Messerschmitty 109, przybyłe właśnie z odsieczą. Myśliwiec widzi nagle godzące w niego żółte pyski i zły rój niebieskawych smug i gwałtownym wywrotem uchyla się od pocisków, tak gwałtownie, że zapada w półsen i podczas gdy drąży go świadomość niebezpieczeństwa, świadomość wciąż w nim żywa, oczy jego są nieżywe, nic nie widzą, a głowa bezwładnie opada do tyłu. Straszliwe uczucie bezsilności w tym najważniejszym momencie życia i walki jest koszmarem, który raz na zawsze pozostaje w nerwach myśliwca.

W chwilę później Witur odzyskuje wzrok i widzi przed sobą, około 600 metrów dalej Messerschmitta, lecz tylko jednego. Drugi się gdzieś zawieruszył. Niemiec wyszedł z



Pilot myśliwiec

nurkowania i wzbija się. Najdogodniejsza to dla Witura sposobność: gaz, doskok, czerwone światło celownika, nacisk kciuka, skręt Niemca, znów kciuk, znów skręt — korkociąg. Stało się. Kilkanaście sekund temu Niemiec był człowiekiem żywym, zdrowym, pełnym nadziei i pewnym zwycięstwa. A oto rozbity o ziemię nie żyje. Nawet już zupełnie nie istnieje, w niezliczone strzępy rozpadło się jego ciało. W swych nieobliczalnych przeskokach z najbujniejszej formy życia do nicości przeżywają lotnicy jakąś demoniczną wielkość, jakąś przerażającą wzniosłość.

Witur wspina się już w górę i wraca do koła Messerschmittów. W czasie jego nieobecności zaszły zmiany. W kole, które wciąż się kręci na tym samym miejscu, dymi już kilka maszyn, a ponieważ pozostają nadal w kręgu — lecąc wolniej niż inne maszyny, tworzą przed sobą luki. Źle wróży to Niemcom. Już koło ich nie jest gładkie, pęka jego spoistość. Już zuchwalej dogryzają Hurricany. Czasem zbyt zuchwale. Oto Witur widzi właśnie brytyjskiego myśliwca, który zbyt blisko się zaawanturował, zestrzelony ratuje się spadochronem. Lecz nie wpływa to na przebieg dramatu. Hurricanów przybywa coraz więcej. Obręcz koła niemieckiego coraz silniejsza. Każda nowa minuta ciężko przechyla wagę.

Jeden z Messerschmittów nie wytrzymał nerwami, mimo że był jeszcze nietknięty: nagłym skrętem wyrwał się z koła. Ucieka. Ucieka w stronę Francji, akurat w ręce Witura. Dwa Hurricany pędzą za nim. Witur będąc bliżej rzuca się między uciekającego a Hurricany, by nie mogły strzelać, atakuje. Raz z tyłu z góry, po czym po wyjściu z nurkowania i wzbiciu się drugi raz z tyłu z góry. Wciąż pilnie bacząc, by Hurricanom przeciąć drogę do Niemca, to jego Niemiec!



Maskotka lotnicza

Naraz Messerschmitt skręca do walki. Witur, wyprysnąwszy w górę, przerzuca samolot na plecy i w trzecim ataku zasypuje celnymi pociskami lewy silnik i kabinę przeciwnika. Messerschmitt, jak zmyty, nurkuje do lotu koszącego. Czwarty atak rozbija go nareszcie o ziemię, na oczach dwóch upartych Hurricanów, niewątpliwie czyhających na swój uśmiech losu. Nie było uśmiechu, nie odbili łupu, Witur sam załatwił się z wrogiem.

Gdy w trójkę wrócili do koła, zastali w powietrzu już tylko połowę Messerschmittów, około dwudziestu, w tym kilka kopcących. I wciąż kręciły się, tak jak w obłędzie. Reszta wykruszona z obiegu, zestrzelona, leżała szczątkami w dole.

Nie pomogły podwójne silniki ani tylni strzelcy. Gdzie wprzódy była pycha, nastała nędza i klęska. W pewnym momencie, jak zmurszały pień, zapadło się całe koło, zmienne koło fortuny. Resztki Messerschmittów wyłapywano skrzętnie jak króliki. Zrobiła się ucieszna gonitwa, nastąpił siarczysty pogrom i w tym ochoczym tally-ho rozpływał się mętnie mit Messerschmitta 110.

W środku Europy wyrosła, jak niszczący wulkan, złowieszcza góra drapieżnych mitów. Zadaniem obecnej wojny jest roznieść tę górę, zdławić jej drapieżność, skruszyć jej stal i rozbroić mity. Rozwiać mity. Historia postępu tej wojny mierzona będzie okresami, w których padały mity. Jednym z pierwszych był mit Messerschmitta; ostatnim do zburzenia będzie chyba mit półboga, który okaże się obłąkanym szaleńcem. Chwila ta oznaczy zwycięstwo ludzkości.

Arkady Fiedler. (*„Skrzydła“*)

Z TEATRU ŻOŁNIERSKIEGO

A TERAZ W HAIFIE



OBDZIELAJĄC sprawiedliwie swymi występami miasta palestyńskie, nasz zespół teatralny zawędrował do Haify. Jeszcze raz przebrał, co miał dobrego, ze swego repertuaru i odniósł nowe sukcesy. Dzięki sprawnej, tym razem własnej, organizacji przedstawienia sala kina En-Dor u podnóża Hadaru wypełniona była po brzegi. Złakniona publiczność miejscowa otrzymała niemal podwójną porcję wrażeń artystycznych w trzygodzinnym, nabitym programie, przedzielonym zaledwie 10-minutową przerwą. Sądząc po oklaskach i nieukrywanych zachwytach, publiczność z tej najsłabszej kolonii polskiej pod Karmelem wyszła z wieczoru nasycona, jakkolwiek może już trochę ociężała tym „obżarstwem“ rewiowymi... karmelkami.

Poszczególne numery należały do kunsztu znanego już nam wszystkim rodzaju. Był zatem prolog, półfinał i finał. Śpiew, recytacja, taniec, muzyka i konferansjerka. Brakło dekoracji i kostiumów, świateł i efektów. Trochę nie wiadomo dlaczego właśnie teraz dano „Good bye Alexandria“; „Mały Jim“, nie dorównywał może „Trzem plus cztery“ Rewelersów, „Trzy bobry“ z Bielawskim i groteska „Dookoła świata“ Leńskiego i Gronowskiego dłużyły się nieco, zwłaszcza wobec improwizowanej konferansjerki Bożyńskiego. Ten ostatni jednak przy sposobności zaprezentował rzadki u nas, a przez to cenny talent, imitatorski, który warto w widowiskach popularnych dalej eksploatować.

Wartość tang i oberków Feuersteina na harmonii jest ustalona, p. Ignatowicz zaś jak dotychczas jeszcze nie zdobywa się w pianach piosenek ludowych, w rodzaju „Otwórz Janku“, na tę śpiewność, którą porywa np. w swym szlagierze „Tylko młodym być“. Skecz „Węgielek“ bawił, jak i późniejsze „Migawki“ Krukowskiego, a półfinałowy „Żołnierz i dziewczyna“ kończył nie tylko pierwszą część programu, ale i długą karierę artystyczną S. Ursteina w czołówce, gdyż przechodzi na inne odpowiedzialne stanowisko — pedagogiczne.

Półgodzinne popisy orkiestry Golda i Petersburskiego rozbiły nieco konstrukcję rewii. Zapewne ten muzykalny zespół dałoby się niekiedy wydzielić tak, aby mógł się wyżyć w samodzielnych występach. Wyobrazić sobie łatwo całowieczorowy koncert muzyki polskiej, złożony nietylko z utworów Karłowicza.

Wykonanie zaś na jednym wieczorze fantazji Golda na temat „Majn Jidisze Mame“, piosenki hebrajskiej przez H. Kitajewicz i hymnu sjonistycznego „Hatikwa“ wydawać się może już wkraczaniem w sferę zadań teatru „Habimy“. Na zadania naszej sceny żołnierskiej wskazywał natomiast wyraźnie finał „V“ i „W“ osnuty przez Landaua na angielskim symbolu zwycięstwa i polskim inicjale imienia i tytułu naszego Wodza Naczelnego.

Aston w swych piosenkach, Andrzejewska w swych patriotycznych deklamacjach i Bielawski w swym „lwoooskim“ repertuarze — stają się, przy zbytnich powtórkach, hieratycznymi postaciami jakiegoś kostniejącego teatru. To też napewno wszyscy z zadowoleniem przyjmą zapowiedź nowej, powiązanej scenicznie rewii i być może w przyszłości — prawdziwego całowieczorowego spektaklu dramatycznego z naszego rodzimego repertuaru teatralnego. *On.*

Sprawa drugiego frontu

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

W PRZEMÓWIENIU z dn. 30. września kanclerz Hitler napomknął znacząco, że na Stalingradzie jako takim mu nie zależy. Nie interesuje go nawet nazwa tego miasta. Zależy mu natomiast na Wołdze, która jest arterią komunikacyjną o większym znaczeniu niż Łaba, Ren i Dunaj razem wzięte. Widocznie kanclerz Hitler stawia sobie obecnie za zadanie opanowanie Wołgi w dolnym biegu, by odciąć Rosję od Kaukazu i rozbić armię sowiecką na dwa odrębne człony. Jest to minimalny program wojenny Niemiec na rok obecny. Maksymalnym programem byłoby rozbicie Rosji, unicestwienie jej armii, wzięcie Moskwy... Lecz o tym maksymalnym programie, o którym głośno było rok temu, nie mówi się w Berlinie. Z niemieckiego punktu widzenia będzie dobrze, jeżeli nie zawiedzie wykonanie planów minimalnych.

Nie jest to bowiem całkowicie pewne. Bój o Stalingrad trwa i nie widać, by walka zbliżała się tam do końca. Niemcy mogą pochwalić się kilkuset-metrowymi postępami w mieście, lecz na północny-zachód od Stalingradu, między Donem i Wołgą, marsz. Timoszenko rozwija dywersyjne natarcia, które mogą obrócić w niwecz plany niemieckie. Mimo, że październik nadaje się jeszcze do walk na południu Rosji, Niemcy będą musieli pomyśleć o leżach zimowych i o daniu kwater wojsku, które na przedpolu Stalingradu zimować nie będzie mogło.

Niemcy zabiegają dlatego gorączkowo o decyzję. Stąd ich nowe i bezskuteczne wysiłki ofensywne pod Mozdokiem i na południe od Noworosyjska. Koncentracja milionowej armii wojsk „osi" pod Stalingradem świadczy zresztą najwymowniej o znaczeniu, jakie Niemcy przywiązują do tej kluczowej pozycji wbrew pogardliwym grymasom Hitlera. Czy jednak nawet w razie osiągnięcia tego celu armia niemiecka po takim wysiłku będzie zdolna jeszcze w tym roku przedsięwziąć większe i dalsze działania?

DODAWANIE OTUCHY NIEMCOM

Po Hitlerze przemawiał w Niemczech na innym zebraniu Goering. I również raczej na temat frontu wewnętrznego. Świadczyłoby to, że w Rzeszy rozpoczęto jakąś wielką kampanię propagandową na użytek kraju. Obaj mówcy, Hitler i Goering, postawili sobie wyraźnie za zadanie podnoszenie na duchu swych współziomków u progu czwartej zimy wojennej.

Goering wysunął temat najbardziej widocznie pasjonujący Niemców. Zapewniał mianowicie, że Niemcy będą syci. Trzeba będzie przeżyć jeszcze ciężkie chwile, ale niebawem będzie lepiej. Niemcy nie potrzebują obawiać się o swe żołądki, zapewniał Goering, armię niemiecką bowiem żywić będą kraje okupowane, choćby nawet podbite narody były narażone na głód.

Drugą zastanawiającą uwagą w mowie Goeringa była jego pogróżka pod adresem żołnierzy i generałów niemieckich. Żołnierz, który opuści szeregi, oraz generał, który porzuci swą jednostkę, będą rozstrzelani. Tak drażliwe postawienie sprawy nie świadczy najlepiej o nastrojach w armii niemieckiej.

Prasa jest zresztą nadal pełna wiadomości o zmianach, które jakoby nastąpią, lub już nastąpiły na wysokich stanowiskach wojskowych w Niemczech. Utrzymuje się więc pogłoska o dymisji von Bocka, którego następcą byłby marsz. List. Podobno również marsz. von Kuehler zastąpił gen. von Loeba na stanowisku dowódcy wojsk niemieckich na froncie leningradzkim.

BEZSILNOŚĆ WOBEC R.A.F.

Goering zwłaszcza w jednej dziedzinie nie mógł wiele obiecać Niemcom. Dał do zrozumienia, że na razie nie będzie mógł zapobiec bombardowaniu Niemiec przez lotnictwo brytyjskie i sprzymierzone. Wzywał też swych rodaków do przetrwania tego ciężkiego okresu aż do chwili, gdy Niemcy wezmą odwet. Nastroje w Rzeszy pod tym względem muszą wyglądać dość minorowo, skoro „Muenchner Neueste Nachrichten" w dniu pogrzebu drugiej serii ofiar bombardowania Monachium wystąpiły z następującymi wywodami: „Czy niebawem nie znajdziemy się w obliczu sytacji, kiedy wróg dosłownie spadnie nam na głowę. Siły powietrzne naszych nieprzyjaciół są nadal bardzo potężne i najwyższy już czas, by je zniszczyć za wszelką cenę. Zadanie to będzie wymagało jak najszerszego współdziałania narodowego. Każdą straconą przez nas minutę wykorzystują Anglicy i Amerykanie, by gromadzić olbrzymią siłę powietrzną na zachodnim froncie". Pismo wystąpiło w końcu przeciw ludziom, krytykującym obronę przeciwlotniczą w Monachium, pisząc o „niewdzięczności pewnych osób, które krążą skrycie wśród ludzi, narzekając i krytykując".

Wzywania Niemców do „wytrwania" odbiegłego dość jaskrawo od poprzednich butnych zapowiedzi zwycięstw i triumfów. Co więcej, Goering pozwolił sobie na wysunięcie jako argumentu ewentualności klęski niemieckiej. Groził jednak, że w takim wypadku nastąpi zupełna zagłada narodu niemieckiego.

W ubiegłym tygodniu naloty na Niemcy były słabsze. Samoloty sojusznicze bombardowały znowu Flensburg, Nadrenię oraz w dniu 2. bm. dokonały wielkiego wypadu w sil 400 aparatów na północną Francję. Samoloty polskie uczestniczyły w tej wyprawie. W Londynie stwierdzono, że w ciągu września lotnictwo sojusznicze przeprowadziło 16 nocnych i 11 dziennych nalotów. W 10 wypadach dokonanych w ciągu 16 pierwszych nocy września zrzucono 5000 ton bomb.

KŁOPOTY I ZABIEGI ROMMLA

Oprócz akcji lotnictwa sojuszniczego również sytuacja w Afryce poczyna niepokoić Berlin. Marsz. Rommel bawił w stolicy Rzeszy i był na zebraniu, na którym Hitler wygłosił znaną mowę. Niemcy podali do wiadomości, że Fuehrer przybywając na salę przywitał się specjalnie z Rommlem.

Podróż Rommla do Niemiec wywołuje różne pogłoski. Podobno między dowódcą Afrikakorps a naczelnym dowództwem niemieckim powstały nieporozumienia na temat zaopatrywania wojsk „osi" w Afryce. Rommel domaga się bardziej wydatnej pomocy, zwłaszcza w zakresie lotnictwa. Berlin jej nie daje tłómacząc się potrzebami frontu wschodniego. Powstały podobno również niesnaski między Rommlem a Kesselringiem, dowódcą lotnictwa niemieckiego na Morzu Śródziemnym. Rommel zrzuca winę za niedojście do Aleksandrii na Kesselringa twierdząc, że Luftwaffe nie

poparła dość silnie jego ofensywy. Wreszcie krążą pogłoski na temat dalszych nieporozumień między Niemcami i Włochami w Afryce. Rommel domaga się utworzenia niemieckiego naczelnego dowództwa dla śródziemnomorskiego teatru wojny. Włosi sprzeciwiają się temu, formalnie bowiem Rommel podlega dowództwu włoskiemu. Mussolini wysunął podobno myśl powierzenia naczelnego dowództwa jednemu z książąt włoskich, którego zastępcą i faktycznym wodzem byłby Niemiec.

W dniu 30. września na środkowym odcinku frontu pod El Alamein wojska brytyjskie dokonały wypadu wypierając Włochów i wyrównując linię frontu w pobliżu wklęsłości Munassib na południe od wzgórz Ruweissat. Wojska brytyjskie odparły przeciwnatarcia włoskie i zdobyły nowe dogodne pozycje. Ciężkie bombowce amerykańskie dokonały dwukrotnego skutecznego nalotu na port grecki Novarino, skąd Niemcy dosyłają pomoc dla wojsk „osi" w Afryce. Wzmogła się również działalność sojuszniczych łodzi podwodnych na Morzu Śródziemnym. Komunikat admiralicji doniósł, że dwa statki „osi" zostały zatopione, a jeden prawdopodobnie poszedł na dno. Włosi przyznali, że w dwóch starciach morskich i powietrznych na Morzu Śródziemnym stracili 50 samolotów.

MGŁY NAD DAKAREM

W chwili, gdy siły sprzymierzone gromadzą się w Afryce i na Środkowym Wschodzie, Niemcy oraz ich poplecznicy z Vichy wysunęli ni stąd ni zowąd sprawę Dakaru. Niemcy w swoich audycjach radiowych insynuowali więc, że państwa sojusznicze dlatego tylko „pchnęły" Brazylię do wojny, by uzyskać bazę do najdogodniejszego uderzenia na francuski port w Afryce zachodniej — Dakar. Władze Vichy natychmiast zarządziły alarm. Gubernator Dakaru, podległy rządowi Vichy, zorganizował rejestrację kobiet i dzieci europejskich jakby w przygotowaniu do ewakuacji. Komunikat agencji Vichy wywodził prowokacyjnie, że w „mniemaniu kół francuskich rozwój wydarzeń na Madagaskarze nie wyklucza możliwości uderzenia sojuszników na Dakar". Inne doniesienia Vichy zaznaczały, że obrona Dakaru, gdzie stoi 35000 t. pancernik „Richelieu" została wzmocniona.

OŚWIADCZENIE STALINA

„Manchester Guardian" pisze, że sprzymierzeni winni uderzyć na najsłabszego partnera „osi" t. j. na Włochy, do czego potrzebne jest zwycięstwo lądowe w Afryce.

Innego zdania są jednak pisma sowieckie. „Czerwona Gwiazda" pisała, że „teatr wojny na pustyni nie stanie się w żadnym wypadku decydującym dla pokonania wojsk niemieckich i włoskich". Zamiast frontu w Afryce czynniki sowieckie domagają się coraz natarczywiej otwarcia drugiego frontu w Europie.

Z żądaniem tym wystąpił osobiście Stalin, który przyjmując korespondenta pism amerykańskich, wysunął twierdzenie, że „pomoc sprzymierzonych dla Rosji jest zbyt mała" i że „alianci powinni jak najprędzej wypełnić swe zobowiązania wobec Rosji".

Słowa te pochwyciła natychmiast propaganda niemiecka, która w audycjach radiowych zachłystywała się z radości, że między sojusznikami doszło jakoby do „nieporozumień" i że Stalin „uskarża się na nieskuteczność pomocy angielsko-amerykańskiej". W Ameryce i w Anglii oświadczenie Stalina nie minęło bez echa. Ambasador W. Brytanii w Waszyngtonie, lord Halifax, zapewniał, że „Stalin, Roosevelt i Churchill rozumieją się bardzo dobrze". Ambasador dodał, iż zapewnienia Stalina, że potrafi on zatrzymać i pobić Niemców są „bardzo pocieszające". Amerykański podsekretarz stanu Sumner Welles stwierdził, że „celem rządu Stanów Zjednoczonych jest uczynić wszystko, by udzielić wszelkiej możliwej pomocy armii sowieckiej". Agencja Associated Press doniosła ze swej strony, że „ambasadorowie Anglii i Ameryki w Moskwie omawiali między sobą treść oświadczenia Stalina. Oczekuje się, że zwrócą się oni o wyjaśnienie niektórych zdań tej deklaracji".

Należy tu dodać, że już poprzednie wypowiedzenie się p. Willkie na temat potrzeby drugiego frontu, o czym pisaliśmy w ostatnim przeglądzie, wywołało krytyczne uwagi w niektórych kołach anglosaskich. Przewodniczący komisji spraw zagranicznych w amerykańskim senacie p. Conally zauważył, że „tego rodzaju deklaracje mogą wywołać nieporozumienia między rządami Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej". A brytyjski wicepremier i przywódca socjalistów Attlee po raz drugi zabrał głos w tej sprawie oświadczając, że sprzymierzeni nie potrzebują być „zachęcani" do otwarcia drugiego frontu, gdyż wszyscy przecież pracują nad planami ofensywy. „Mówić o „zachęcaniu" świadczyłoby o braku dobrej woli z naszej strony; otóż zapewniam, że mamy tę wolę, lecz nie możemy pomijać zdania ekspertów wojskowych".

WYSIŁEK AMERYKI.

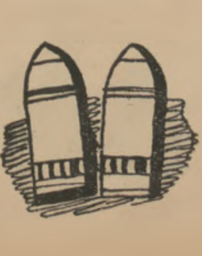
Wygranie wojny wymaga bowiem opanowania wielu zagadnień. Ujawniono, że Niemcy rozporządzają w chwili obecnej 300 łodziami podwodnymi, którymi usiłują przerwać łączność morską między aliantami. W chwili wybuchu wojny Rzesza miała 71 łodzi podwodnych. Od tego czasu wybudowała 400 nowych łodzi, ale ok. 200 straciła. Walka o Atlantyk zajmuje też poważne miejsce w ogólnym wysiłku wojennym mocarstw anglosaskich.

Znacznego wysiłku wymaga również rozwój produkcji wojennej w Ameryce. Kierownik tej produkcji p. Donald Nelson stwierdził, że choć wytwórczość sojuszników przewyższy w roku 1942 produkcję „osi" w Europie, to przecież we wrześniu wydajność przemysłu amerykańskiego była o 14 procent mniejsza od przewidywanej. P. Donald Nelson nawoływał też do dalszego wysiłku. Wiadomo również, że gigantyczny wysiłek wojenny Stanów Zjednoczonych nie obywa się bez zgrzytów ludności. Przestawienie gospodarki w Ameryce na wojenną wywołało niezawsze dodatnie następstwa, które Amerykanie zdecydowani są przezwyciężyć.

Mimo to Ameryka myśli przede wszystkim o ofensywie. Na wyspach Brytyjskich gromadzone są coraz potężniejsze amerykańskie siły uderzeniowe. W różnych częściach Stanów Zjednoczonych przeszkalane są specjalne jednostki do walki na rozmaitych teatrach wojny. Istnieje więc „armia zachodnio-europejska", istnieją amerykańskie jednostki „norweskie", a na piaskach kalifornijskich ćwiczone są wojska „egipskie" i „libijskie"...

Jeśli mowa o rozmachu amerykańskim, trudno nie zanotować przyjazdu ze Stanów Zjednoczonych do Watykanu specjalnego wysłannika prezydenta Roosevelta p. Myrona Taylora, który wylądował w Rzymie za zgodą rządu włoskiego. Był on kilkakrotnie przyjęty przez papieża, któremu według głosów pism szwajcarskich przedłożył amerykański plan odbudowy Europy. Z Watykanu udał się p. Taylor drogą powietrzną przez Lizbonę do Londynu. Cele misji p. Taylora utrzymywane są w tajemnicy.

D. I.



AUTOSTOPEM

MALARZ I POETA — „WIOSNA RADOSNA" — SZTANDAR I BANAŁY

Obawiałem się, że niedawny mały przewodnik po kulisach poezji, jaki ukazał się na tym miejscu, będzie czytany wyłącznie przez zainteresowanych, tj. przez piszących wiersze. Tymczasem okazało się, że przeczytały go właśnie różne nie-spece, pokiwały poważnie głowami i jakgdyby nabrały szacunku dla rymopisarstwa, które okazało się sztuką nie mniej skomplikowaną (choć mniej ważną), niż pismo w sprawie gwoździa w kwatermistrzostwie. Co się zaś tyczy samych poetów, otrzymałem wprawdzie kilka zeszytów z interesującymi wierszami, natomiast jakgdyby zamilkli nasi klienci działu „odpowiedzi redakcji". Może właśnie pracowicie poprawiają formę swych dzieł,

„mając na twarzy taki wyraz boski
jak mistrz, gdy pisząc w wierszu liczył zgłoski".

i stąd ta chwilowa przerwa w korespondencji. Skorzystajmy z niej, by wyjaśnić jeszcze jedno nieporozumienie i jeszcze jeden powód, dla którego nawet wobec poprawnych utworów wypada przecząca odpowiedź naszego „naczelnego", pisana z pewnością wolniej i dłużej, niż omawiany w odpowiedziach artykuł lub wiersz.

Stosowanie się do pewnych reguł formy zapewnia poprawność. Ale jest wielka różnica między rzeczą napisaną w mowie wiązanej, to znaczy zamkniętą w określony rytm i rym, a poezją. Tak samo, jak inne znaczenie posiada pisanie wierszy dla własnej przyjemności, dla własnej wewnętrznej potrzeby, dla samego siebie czy przyjaciół, grona najbliższych kolegów, a zupełnie inne — tworzenie ich z myślą o druku, o publikacji. Wtedy wiersz — owe słowa tak prywatne, osobiste, poufne — stają się czynem publicznym. Zjawia się zagadnienie ich potrzeby z punktu widzenia interesu publicznego i zagadnienie odpowiedzialności za zawartą w nich treść.

Druk, ogłoszenie utworu w czasopiśmie, czy w książce, nie jest przecież celem samym przez się, lecz tylko środkiem. Środkiem do jakiego celu? Do przekazania innym ludziom naszych wzruszeń, do wzbudzenia w nich podobnych uczuć, do nauczenia ich naszego spojrzenia na świat. Wiersz liryczny — to jakby usiłowanie nałożenia czytelnikowi własnych, ściśle indywidualnych okularów. I tak, jak nie dla każdego wzroku nadają się jedne okulary, z góry musimy się liczyć z tym, że nie wszyscy potrafią wiersz o d c z y t a ć. Dla jednych będzie on oglądaniem świata w nowej barwie, odkryciem rzeczy dotąd nie widzianych, dla innych zostanie tylko zamazanym obrazem, przez który z trudnością mogą dostrzec kontury. Idzie o to, aby wina owego braku ostrości widzenia leżała nie po stronie wiersza, ale po stronie patrzących. I dalej, — nie wolno nikogo zachęcać do spojrzenia przez nasze szkła, jeśli nie można przez nie zobaczyć niczego nowego.

Mówi się często o spojrzeniu malarskim, o tym jak pewien malarz ogląda rzeczywistość. Tak samo można powiedzieć o spojrzeniu poetyckim — poeta, podobnie jak malarz, widzi świat inaczej, w innych barwach, wyczuwa nieuchwytne nastroje, odnajduje poetyczność w rzeczach na pozór prozaicznych. Sekret wiersza polega na umiejętności przekazania tych swoistych wrażeń czytelnikowi, na zastosowaniu takiej magii słów, wypowiedzenia takiego zaklęcia, które by go wciągnęło w nasz świat wewnętrzny.

Tu, o ile się czarnoksięstwo powiedzie, dochodzimy do zagadnienia treści. Nie jesteśmy przecież jedyni, nie jesteśmy wybrańcami, którym jednym dano zamieniać w poezję świat, włącznie nawet z szefem i służbą wartowniczą. Chęć drukowania wiersza wyłącznie dlatego, że jest nasz własny i że migoce w nim poetycki płomyk — jest nieodpowiedzialnym zarozumialstwem. Musimy mieć jeśli nie pewność, to przynajmniej nadzieję, że nikt jeszcze t a k właśnie nie spojrzał, nie odczuł, nie napisał. To jest to, co się nazywa oryginalnością.

Ogłaszanie swych prac w czasopiśmie stanowi, zwłaszcza dziś, gdy mało papieru zajmuje polskie słowo drukowane, mniej lub więcej skromne — przecież wejście do literatury. Nie przypominając wielkich nazwisk, czyż doprawdy każdy ze zwracających się do nas z prośbą o druk czuje się godnym stanąć przy Wierzyńskim, Tuwimie, Balińskim, Pawlikowskiej? Ach, oczywiście nie od razu w jednym rzędzie, lecz chociaż daleko z tyłu. Można uznawać swą niedoskonałość, oceniać różnicę skali talentu, lecz trzeba się zastanowić nad zamiarem druku, jeśli nie sądzi się z całą uczciwością samokrytycyzmu, że jest się z tej samej nie nazwanej, nie stowarzyszonej, a jednak zawsze rozpoznającej się sekty ludzi piszących wiersze.

Pomyślcie, ileż razy napisano o wiośnie, o miłości, małych domkach i kwiatach. Przecież Tuwim prosił, aby „wiosna" wreszcie nie była „radosna" i śmiać się przestała „bez końca" — „do słońca", i by większą uwagę zwróciła na swą konduitę „szara ksieni", która zwykła się włóczyć „po złotej jesieni". W tym tuwimowskim żarcie jest wyśmianie powtarzanych do znudzenia tematów, banalnych uczuć, ale także i spospolitowanych już do ostateczności rymów. Przy dzisiejszej technice poetyckiej, doprowadzonej w polszczyźnie przez modernistów, a następnie przez skamandrytów i poetów awangardowych ostatnich lat dwudziestu do zawrotnej wirtuozerii, trzeba mieć i nielada odwagę formy i czarujący wdzięk mówienia rzeczy wielkich w sposób najprostszy, by pozwolić sobie na błahą formę.

Tymczasem nasi autorzy próbujący swych sił w poezji, z pospolitością formy łączą próby podejmowania największych, najbardziej patetycznych tematów. Nie wiem, czy autor wiersza „Do Matki Polski" pomyślał, że usiłuje wstąpić na mickiewiczowską ścieżkę, czy autor „Nalotu" spróbował porównać swój utwór z głośnym „Alarmem" Słonimskiego i po przeprowadzeniu porównania doszedł do wniosku, że istotnie jego wiersz jest lepszy, lub przynajmniej w stosunku do „Alarmu" dostatecznie nowy, świeży, odkrywczy, by żądać jego wydrukowania.

Wygląda to może tak, jak gdybym ganił, jak gdybym zniechęcał do pisania o tematach wojennych i patriotycznych. Bynajmniej — wierzę doprawdy całkowicie w szczerość przeżyć tych wszystkich, którzy po gehennie ostatnich lat czują się niemal w obowiązku napisania wiersza o Polsce, wiersza do Polski. Modlitwą modlimy się do Boga, do

Ojczyzny, do odzyskanej wolności, trzeba się chyba modlić poezją. Te wiersze są pięknym dokumentem jednomyślności przeżyć żołnierzy na Wschodzie, ale te wiersze nie zawsze można drukować.

Im większy temat, tym większe wymagania. O wrześniu 1939 r., o ziemi polskiej, o tułaczce i powrocie wolno pisać wówczas, gdy głębokością treści, siłą akcentu poetyckiego wynagradza się przerwanie świątynnej ciszy, jaka winna otaczać najgłębsze uczucia i najwyższe wartości. Czy może czytał ktoś z was doskonałą powieść Rudyarda Kiplinga p. t. „Stalky i Sp." o angielskich chłopcach? Jest tam charakterystyczny rozdział. Pewien nauczyciel wygłosił wobec uczniów patetyczne przemówienie o angielskim sztandarze państwowym — został przez chłopców znienawidzony, uważano, że popełnił najgorszą nieprzyzwoitość, ośmielając się publicznie, w nadętych frazesach wypowiadać to, co wprawdzie każdy czuł, ale o czym każdy milczał. Pamiętajmy, że wiersz napisany w najlepszej intencji może dać taki właśnie efekt, jeśli zawiedzie w nim strona artystyczna.

Owa powódź wierszy patriotycznych robi czasem podobne wrażenie, jak — jakże częste! — przemówienia na zebraniach publicznych, gdzie każdy uważa, że to najważniejsze nie zostało powiedziane, dopóki on sam tego nie powie — mimo że powtórzy myśli, podane już przez innych mówców. Kto wie, czy w tym nie ma odblasku naszego nadmiernego indywidualizmu, a za małego zdyscyplinowania społecznego.

Wreszcie w tych zjawiskach możnaby nawet dopatrzeć się odbicia poważnej choroby naszego życia kulturalnego, przed którą ostrzegali krytycy tej miary, co Stanisław Brzozowski i Karol Irzykowski. Oto brak zdrowego tradycjonalizmu łączy się u nas z brakiem szacunku dla dorobku poprzedników i zarozumiałością teraźniejszości. W sztuce i nauce było to nieraz prawie katastrofą — wielu pisało tak, jakby wszystko zaczynało się dopiero od nich. W ten sposób dyskusje wychodziły od Adama i Ewy i wlokły się bez końca, tracono czas na kwestie gdzie indziej już rozstrzygnięte, rodziły się u nas spóźnione prądy estetyczne, epigonowe ambicje. I znów — dlatego, że nic nie było ważne, dopóki samozwańczy mędrzec czy wieszcz sam in persona tego nie powiedział.

Zamiast więc napróżno rywalizować z największymi twórcami naszej literatury w pisaniu o ojczyźnie, czy nie lepiej sięgnąć tam, gdzie oryginalność i bezpośredniość jest stosunkowo łatwa i bliska. Ciekawe, że nasi poeci Środkowego Wschodu prawie nie widzą swego otoczenia. Nie widzą życia wojskowego, nie widzą egzotycznego krajobrazu śródziemnomorskiego, nie odczuwają tchnienia świętej tradycii Palestyny, nie interesują się barwnym światem arabskim. Mogłoby to świadczyć, że albo żyją w jakimś szczególnym stanie snu, w jaki wpadli po dramacie wrześniowym, opętani jedną tylko myślą powrotu, albo też — że poprostu nie potrafią patrzeć, nie mają zdolności prawdziwego poetyckiego spojrzenia i idą wyłącznie za modą patriotycznych wierszy. Moda ta doprowadza do takich dziwolągów, jak naprzykład wiersz:

„Jakżeś odporna na klęski i gromy:
Mocniejsza niżli śmiertelne ogniwa...
Choć Cię do trumny wciskają, Ty żywa,
Ponad niewoli się wzbijasz pogromy."

Nie powiem ażeby obraz, choćby symbolicznej istoty „wciskanej do trumny" (złą miarę wzięli, u licha!), był szczególnie sympatyczny.

Kto inny znów w apostrofie do Polski wypowiada „nową" myśl, robiąc konkurencję prezydentowi Rooseveltowi: „Boś ty natchnieniem walczącej ludzkości".

Nie ma gorszej rzeczy w wierszach, artykułach, przemówieniach, jak powtarzanie myśli cudzych, zbanalizowanych, jak wieczne wracanie do tabliczki mnożenia w każdym wykładzie. Trzeba wreszcie uwierzyć, że czytelnik czyta i słucha nie tylko nas, ale także i kilku innych publicystów i literatów.

Tymczasem daje się doskonale połączyć świeżość naszych obecnych wrażeń z zasadniczym nurtem tematyki patriotycznej. Wdzięcznym przykładem będzie tu, drukowany w poprzednim numerze „Ku Wolnej Polsce" — wiersz K. Nałęcza „Zmierzch nad Nilem", albo znany u nas z „Naszych Dróg", a ostatnio ogłoszony w polskiej prasie londyńskiej wiersz Hemara „Dwie ziemie święte", gdzie już sam tytuł tłumaczy pomysł, zręczny i piękny, zestawienia Palestyny i Polski, jako dwóch krajów uświęconych krwią ofiarną. Bo bynajmniej nie chodzi o egzotykę tego typu, co poniższa cytata:

„W świetle reflektorów migały ogrody,
Smukłe cyprysy, ciemne pomarańcze.
My? Czyż tylko to kaprys przygody,
Czy może w objęciach swoje szczęście niańczę?
Ktoś coś mówił. Zjażyły (!) Rechowodu światła.
Auto z lekkim zgrzytem u bramy stanęło.
Pocałunek. „Pojutrze". Myśl błyska uparta.
Czy się już coś kończy, czy się coś zaczęło".

Wierzę, że po owym pocałunku myśl była „uparta", a co do Hamletowego pytania w zakończeniu, pewne jest jedno — wiersz, chwała Bogu, skończył się.

Pora na wnioski. Temat patriotyczny grozi dziś banałem, poematy o Polsce, o wojnie wrześniowej, wolno pisać, o ile da się rzecz istotnie głęboko odczutą i w jednolitym kruszcu stworzoną. Nic gorszego, jak błękitami, złotem słońca itp. oblewać wszystko po kolei zatapiając całe wspomnienie kraju i jego piękności w tym niebiesko-migdałowym sosie. Piszcie prosto to co widzicie, czujecie, nie siląc się na rolę wieszczów. Czy doprawdy nikt nie słyszał głosu historii stąpając po murach Jerozolimy? Nikt nie oglądał zachodu słońca nad morzem, które o zmierzchu przyniosło Słowackiemu jeden z jego najpiękniejszych wierszy „Smutno mi Boże"? Zdaje się, że od romantyków aż do najnowszej poezji polskiej Środkowy Wschód reprezentowany jest opisowo „Podróżą na Wschód" Słowackiego i zbiorkiem wierszy Słonimskiego, wydanych bodajże pod tym samym tytułem. Kossak-Szczucka potrzebowała stypendium rządowego, by wyjechać do Palestyny dla zbierania materiału do swych wspaniałych „Krzyżowców", niejeden malarz marzył o wyjeździe w kraj wiecznego błękitu i ostrych barw, a wy dziś jesteście tu, rzuceni losem jak w zaczarowanej bajce i nie umiecie nic dostrzec.

O, poeci, poeci...

Zarzucam togę na twarz i — biegnę do kuchni z menażką, bo właśnie brzmi murzyński tam-tam, a mały Mahmud (zasługuje na wiersz!) drze się po polsku jak opętany: kolacja, kolacja, chodź!

TOPSY



CZY MAMY APETYT?

ŻART NA STRONĘ

PRZYJAŹŃ WŁOSKO-NIEMIECKA

Matka z córką, włoski oficer i gestapowiec jadą we Włoszech w jednym przedziale pociągu pośpiesznego. Gdy pociąg mijał tunel, zapanowała zupełna ciemność. Ciszę przerwał odgłos pocałunku i głośne klaśnięcie. Oto, co sobie pomyślał każdy z pasażerów, gdy pociąg wyjechał z tunelu:

Gestapowiec: To zwyrodniały makaroniarz. Ośmielił się pocałować dziewczynę korzystając z ciemności i uniknął konsekwencji.

Panna: Nerwy go zawiodły; chciał pocałować mamę, ale mu dała szkołę!

Matka: Zachciało mu się całusa mojej córuchny. Nie wiedział, jak ją dobrze wychowałam.

Włoch: Warto było pocałować się w rękę, aby tak Szwaba w mordę zajechać!

(*Leonard Lyons* w *„World laughs“*)

W NIEMIECKIEJ RESTAURACJI

Kelner: — Nasz spis obejmuje tylko te potrawy, które przed wojną mieliśmy dla gości. „Arthus Hof“ umie się szanować, proszę pana.

(*„Men only“*)

POSTĘPY MOTORYZACJI

— Te nowe wozy czwartym biegiem wjeżdżają na każde wzgórze.

— Tym mi nie zaimponujesz. W rękach naszych kierowców nawet stare wozy wjeżdżają na każde drzewo.

W MŁODYM MAŁŻEŃSTWIE

— Zbudź się kochanie, mały płacze.

— Mógłbyś go sam uspokoić, zamiast mnie budzić. On jest przecież zarówno moim jak i twoim.

— Tak, ale moja połowa nie płacze.

(*„Laughing Gas“*)

HONORARIA OKULISTÓW

— Wyobraź sobie, jak zdzierają ci lekarze. Mojej żonie wpadł pyłek do oka i kosztowało mnie to całego funta na okulistę.

Ty to nazywasz drogo? Mojej żonie wpadł w oko jakiś szczeniak, to mnie kosztowało sto funtów i sporo zdrowia.



Uwaga! Przerwać ogień!

ROZTARGNIENIE

Znany korespondent i komentator radiowy R. Graham Swing wylądował podczas wojny na szkockim lotnisku — wprost z Ameryki. Wysiadł z samolotu zafrasowany. Ktoś z oczekujących go dziennikarzy zapytał o powód:

— „Zostawiłem gdzieś swój płaszcz“ — odpowiedział Swing.

— „A nie pamięta pan gdzie?“ — zapytał Szkot chcąc dopomóc gościowi.

— „Nie, naprawdę nie wiem. Musiałem go zostawić albo w Quebec albo w New-Yorku.“

(*Autentyczne*)

GRZECZNE DZIECI

Dziedzic do swego ogrodnika: Serce rośnie, jak się tak patrzy na waszą rodzinę, Janie — trzech chłopaków jak dęby i dwie hoże dziewoje. Powiedzcie mi jednak szczerze: mieliście z nimi dużo kłopotu?

— Kłopotu, panie dziedzicu — odpowiada Jan z uczuciem — ależ nie potrzebowałem na nie nigdy nawet palca podnieść. Chyba, dodaje po namyśle, we własnej obronie.

WŚRÓD PRZYJACIÓŁEK

Dzidzia: Wyobraź sobie, Jurek mnie wczoraj zaklinał, abym go poślubiła i uczyniła szczęśliwym.

Lala: A ty co z tego wybrałaś?

CIEKAWOŚĆ

Dama zwiedzająca zwierzyniec — do dozorcy patrząc na grzbiety płynących hipopotamów:

— Po czym pan właściwie poznaje samicę?

— Hm, to zagadnienie obchodzi już chyba raczej hipopotama.

SPOSÓB

Znudzony gospodarz domu pełnego rozszczebiotanych pań do przyjaciela:

— Coby tu zrobić, żeby te baby choć na pięć minut zamilkły?

— To bardzo proste: zapytaj, która z nich najstarsza.

ŚRODEK

— Panie doktorze, jak pan znajduje stan mojego serca?

— Niech się pan nie martwi, z pańskim sercem można żyć całe życie.

Pacjent odszedł uspokojony.

(„Laughing Gas“)

PRZYGODY KACPRA W PUSTYNI (5)

Tekst i rysunki: *Wł. G.—S.*



17.
Pełzł na brzuchu po wydętej
diunie,
A tu skorpion olbrzymi
naprzeciwko sunie.



18.
By zrodzić pomysł — dość było
tej chwili,
Gdy obaj zimno w ślepia
se patrzyli.



19.
Kilka ruchów pełnych strachu
I już w pudle jesteś brachu.



20.
Opatrunek, wróg gdzieś hen,
Kacpra zmorzył ciężki sen.

M. WAZA

Tel-Aviv Allenby 77
SKLEP oraz **PRACOWNIA JUBILERSKA**
(zał. w Polsce w r. 1907)
Poleca: sygnety, krzyżyki, łańcuszki, broszki itp.
Precyzyjne rytowania
WIELKI WYBÓR ZEGARKÓW
Warsztat zegarmistrzowski pod kier. kwal. fachowca

BIELIZNA

Koszule, pyjamy, pończochy i bieliznę dla Pań, Panów i Dzieci
kupujesz dobrze i tanio w firmie

Feuer

Tel-Aviv **Nachlat Benjamin 22**
narożnik ul. Gruzenberg

Ukazał się

Słownik Wojskowy Angielsko-Polski

ENGLISH – POLISH MILITARY DICTIONARY
wydany przez Komitet Redakcyjny Angielsko-Polskiego i Polsko-Angielskiego Słownika, Wojskowego w Tel-Aviv. – Słownik ten, zawierający zwroty i skróty używane w wojsku wraz z wymową zalecony jest do użytku pismem D-twa Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie L. dz. 5525/Sztab/43 z dnia 26. VII. 1942 r. Do nabycia w cenie 350 mils. w Sekcji Samodzielnego Ref. Propag. i Ośw. D-twa W.P.Ś.W.



To najlepsza Bateria na Środk. Wschodzie



PIWO
MIÓD
WINA
WÓDKI
PIT

P. I. T. PALESTINE INDUSTRIES TRUST
Tel-Aviv tel. 4420 ul. Allenby 69
Haifa tel. 4721 „ Jaffa 59

FARBARZ

KAWIARNIA
RESTAURACJA
Tel-Aviv, Allenby 57
telefon 5557

Wyborowe potrawy
Wielki wybór trunków
Uprzejma obsługa
Ceny przystępne

UNITED FILM SERVICE (Palestine) LTD.

13 ROTSCHILD BOULEVARD, TEL-AVIV
TEL. 4234–5 P. O. B. 2162

Również: JEROZOLIMA, HAIFA

CAIRO, ALEXANDRIA, PORT-SAID, ISMAILA, SUEZ

Kontraktorzy Kinowi: Wojsk Polskich na Śr. W., Kwatery Głównej Wojsk Angielskich, Australijskich i R. A. F-u.

REF. OSW. 7 D.
ARCHIWUM
L. ____ / ____



Pobudka